

NOWE CZASY

T Y G O D N I K



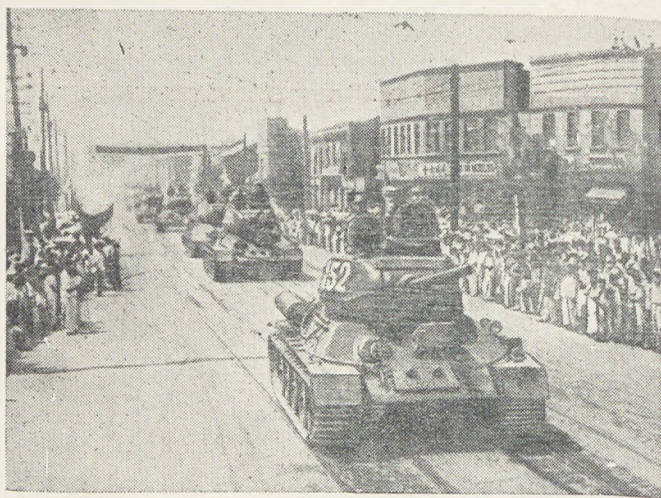
T R E Ś Ć:

POŁOŻYĆ KRES ZBRODNIOM W KOREI!	1
Na froncie obrońców pokoju: Zwolanie drugiego Światowego Kongresu Obrońców Pokoju. — E. Gorochow — Przywódcy trade-unionów — sługusi podżegaczy wojennych	3
N. WEIZMAN — Bilanse monopolu amerykańskich	6
A. JERMOŁAJEW — Dokumenty, które demaskują	10
N. CZEREDNICZENKO — Amerykański żołnierz w Korei (na łamach prasy zagranicznej)	12
Na widowni międzynarodowej (notatki)	16
LEO FIGUERES — W Vietnamie (notatki z podróży)	20
W. KURTOW — W Constanzy (notatki korespondenta)	25
Przeciw fałszywej informacji i oszczerstwom: N. SZMIELOW — Kameleor	28
Krytyka i bibliografia: M. ŻIWOW — Wrażenia polskiego pisarza z podróży po Włoszech	29
Kronika wydarzeń międzynarodowych	32

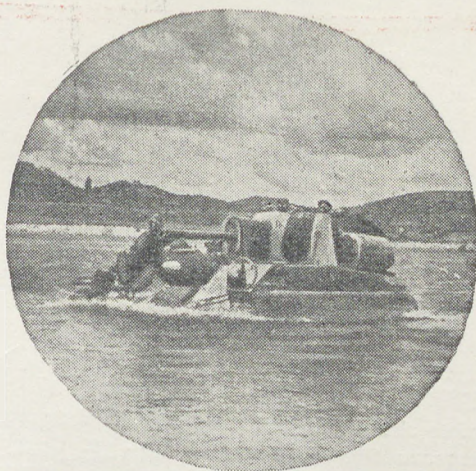
34

23 sierpnia 1950 r.

Naród koreański walczy przeciw interwentom amerykańskim



Wojska Armii Ludowej, które wyzwoliły Seul,
wkraczają do miasta.



Czołgi Armii Ludowej forsują rzekę, ścigając
cofającego się nieprzyjaciela.



↑
Ofensywa trwa...

Jeńcy amerykańscy. →



Położyć kres zbrodniom w Korei!

WYPADKI w Korei wykazały w całej rozciągłości jak zaciekle i drapieżnym wrogiem narodów Azji jest imperializm amerykański.

Pomimo bezczelnego osłaniania agresji St. Zjednoczonych w Korei przez nadużywanie flagi Narodów Zjednoczonych, imperialistyczny charakter awantury wojennej na Dalekim Wschodzie jest zupełnie oczywisty. Jest to typowa agresywna wojna zaborcza, prowadzona metodami zapożyczonymi z faszystowskiego arsenału.

Bestialstwa w Korei — to amerykańska odmiana polityki, z którą narody Europy zapoznaly się bezpośrednio w okresie hitlerowskiego panowania: wyniszczyć jedną połowę ludności, aby przekształcić drugą w niewolników.

Skoncentrowane naloty i bombardowania koreańskich miast i wsi, nie mające żadnego znaczenia wojennego, ostrzeliwanie z powietrza ludności cywilnej, nieludzkie mordowanie tysięcy ludzi i niszczenie ich mienia — oto wyczyny amerykańskich interwentów w Korei. Ponosząc klęski w walkach z Koreańską Armią Ludową, agresorzy amerykańscy nie tylko dają upust swej wściekłości na ludności cywilnej, ale liczą na to, że przy pomocy terroru złamią opór narodu.

Potworne zbrodnie wojenne interwentów amerykańskich w Korei wywołują oburzenie wszystkich uczciwych ludzi na całym świecie.

Fakty podane do publicznej wiadomości w piśmie rządu Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej do Rady Bezpieczeństwa, który domagał się interwencji Organizacji Narodów Zjednoczonych by położyć kres zbrodniom amerykańskim, wołają o pomstę do nieba. Przedstawiciel radziecki w Radzie Bezpieczeństwa natychmiast wniósł na porządek dzienny Rady projekt rezolucji zatytułowanej „Nieludzkie, barbarzyńskie bombardowanie przez lotnictwo amerykańskie ludności cywilnej, miast i zamieszkałych terenów Korei“. Rezolucja ta głosiła, że postępowanie Stanów Zjednoczonych w Korei stanowi brutalne pogwałcenie powszechnie uznanych norm prawa międzynarodowego. Rezolucja ta domagała się od rządu Stanów Zjednoczonych zaprzestania i niedopuszczania w przyszłości do bombardowania z samolotów oraz innymi sposobami miast i wsi i do ostrzeliwania z powietrza koreańskiej ludności cywilnej.

Delegacji amerykańskiej udało się przy pomocy swych satelitów nie dopuścić do rozpatrzenia tej rezolucji. Jak gdyby w ten sposób można było ukryć przed światem bezczelne pogwałcenie przez dowództwo wojskowe i rząd St. Zjednoczonych norm prawa międzynarodowego i fakt dokonywania zbrodni wojennych!

„Nawet prawa wojny zakazują brutalnych nalołów, niszczenia miast, wsi, spokojnych osiedli, budynków użyteczności publicznej, jak szkół i szpitali” — oświadczył rząd Polski w swych depeszach z dnia 17 sierpnia do J. Malika i do sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych Trygve Lie, popierając wnioski radzieckie w Radzie Bezpieczeństwa, które mają na celu pokojowe uregulowanie kwestii koreańskiej.

Rząd bowiem i dowództwo wojskowe Stanów Zjednoczonych depcą nie tylko Kartę Narodów Zjednoczonych, lecz również takie konwencje międzynarodowe o zasadach prowadzenia wojny, jak Konwencja Haska z 1907 r. i uchwały, dotyczące wojny powietrznej (Haga, 1923 rok), w których opracowaniu brały udział również Stany Zjednoczone.

Sumienie ludzkości protestuje z oburzeniem przeciw bestialstwom amerykańskim w Korei i domaga się natychmiastowego położenia im kresu. Wokół tego żądania jednoczą się ludzie wszelkich ras i narodowości, różnych przekonań politycznych i wyznań religijnych. Zbrodnie amerykańskiej klikii wojskowej wywołały energiczne protesty i zdecydowane potępienie czołowych demokratycznych organizacji międzynarodowych. Biuro Stałego Komitetu Światowego Kongresu Obrońców Pokoju, Światowa Federacja Związków Zawodowych, Światowy Kongres Studentów ogłosiły pisma protestacyjne przeciwko zbrodniom amerykańskim w Korei.

Z różnych krajów, od najrozmaitszych demokratycznych organizacji społecznych nadchodzą na ręce Rady Bezpieczeństwa żądania, by wzięła się w te sprawy. Wszzechwzwiązkowa Centralna Rada Związków Zawodowych ZSRR w protestie, adresowanym do Rady Bezpieczeństwa, domaga się, aby

„Rada Bezpieczeństwa dała posłuch głosowi milionów uczciwych ludzi na całym świecie i natychmiast położyła kres amerykańskiej

agresji przeciw narodowi koreańskiemu, by użyła wszystkich będących w jej dyspozycji środków w celu doprowadzenia do zaprzestania mordów na koreańskiej ludności cywilnej, wywołujących oburzenie całej ludzkości“.

Terror powietrzny i zbrodnie amerykańskich interwencji w Korei są wyzwaniem rzuconym sprawie pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego. Skutki ich obliczone są nie tylko na Koreę. Nikczemny ten terror zmierza do tego, aby zastraszyć i inne narody Azji, stojące na straży swej niepodległości. Dla nikogo nie jest tajemnicą — nie ukrywają tego zresztą i amerykańskie koła rządzące — że traktują one Koreę jako punkt oparcia dla agresji przeciw innym krajom Azji.

Potwierdził to publicznie Truman, publikując rozkaz w sprawie okupowania Formozy i wzmocnienia interwencji zbrojnej na Filipinach i w Indochinach.

Amerykańskie koła rządzące usiłują zamaskować swój program imperialistycznych zaborów. Starają się one bądź przedstawić go w charakterze dobroczynnego przedsięwzięcia, co znalazło swój wyraz w osławionym „czwartym punkcie” programu Trumana o „pomocy technicznej dla terenów zacofanych”, bądź też przedstawiają go jako krucjatę mającą na celu „powstrzymać rozpowszechnianie się komunizmu”.

Na setkach stronici niesławnej pamięci „Białej Księgi”, w serii przemówień, wygłoszonych przez Sekretarza Stanu Achesona wiosną 1950 roku, imperialiści amerykańscy udawali przyjaciół narodów Azji, rzekomo zainteresowanych w rozwoju ich ekonomiki i kultury.

Zburzone miasta koreańskie i wiele dziesiątków tysięcy ofiar amerykańskiego terroru demaskują bezgraniczną obłudę i kłamstwa amerykańskich oficjalnych oświadczeń. Trumanowski program „pomocy technicznej dla terenów zacofanych” występuje we właściwym świetle. Na przykładzie Korei narody Azji przekonały się, że „pomoc techniczna” Waszyngtonu — to dostarczanie narzędzi śmierci, zniszczenia i ruiny. Polityka „powstrzymania komunizmu”, proklamowana przez Achesona dla Azji — to polityka niewoli kolonialnej, okrutnego rozprawiania się z ludnością cywilną, popierania najczarniejszej

reakcji i antyludowych reżymów, dławiących pęd narodów ku wolności i niepodległości.

„Nowa polityka w Azji”, proklamowana przez Waszyngton, różni się tylko zasięgiem apetytów imperialistycznych. Stany Zjednoczone uznały prawie wszystkie kraje kuli ziemskiej za sferę swoich interesów. Amerykańskie koła rządzące, jak to wykazały wypadki w Korei, nie cofają się przed bezpośrednim wtargnięciem zbrojnym do krajów, upatrzonych jako obiekt ich ekspansji. Zresztą interwencja w Korei podkreśliła ten ważny fakt, że baza, na której opiera się polityka imperialistów w krajach Azji, zwęziła się znacznie. Jeszcze niedawno Stany Zjednoczone mogły prowadzić wojnę przeciw narodowi chińskiemu rękami kliki Czang Kai-szeka. Marionetkowy rząd Li Syn Mana nie dał im tej możliwości. Upadł on już w pierwszych dniach i postawił obcych najeźdźców twarzą w twarz z narodem walczącym o jedność narodową, wolność i demokrację. Tym też tłumaczą się rozpaczliwe próby Waszyngtonu zamaskowania swej oczywistej izolacji przy pomocy bezprawnych rezolucji grupy członków Rady Bezpieczeństwa i „symbolicznego” udziału w awanturze koreańskiej sił zbrojnych innych państw.

Ruch narodowo-wyzwoleńczy we wszystkich krajach, będących od wielu stuleci obiektami wyzysku kolonialnego angielskich, francuskich, holenderskich i innych imperialistów, wyrósł w potężną siłę nie do przezwyciężenia i ogarnął całą Azję. Narody Azji — jeden po drugim — dają wyraz w praktyce swemu dążeniu do niepodległego bytu państwowego. Zbrodnie, dokonywane przez amerykańskich interwencji na ziemi koreańskiej, nie zmieniają biegu rozwoju historycznego i nie zbliżą imperialistów amerykańskich do upragnionego przez nich celu.

Nie ulega wątpliwości, że organizatorzy amerykańskiego rozboju zbrojnego w Korei, winni wymordowania tysięcy koreańskich kobiet, starców i dzieci, odpowiedzą przed sądem narodów. Już obecnie zdecydowanie i nieodwołalnie potępiła ich światowa opinia publiczna. Najświętszym obowiązkiem każdego uczciwego człowieka w każdym kraju świata jest wzięcie udziału w akcjach, mających na celu położyć kres zbrodniom agresorów amerykańskich w Korei.

Na froncie obrońców pokoju

Zwołanie drugiego Światowego Kongresu Obrońców Pokoju

ROZSZERZONE biuro Stałego Komitetu Światowego Kongresu Obrońców Pokoju na sesji w Pradze, która zakończyła swe obrady 18 sierpnia, powzięło doniosłe uchwały w sprawie dalszego rozszerzenia frontu walki o pokój i w sprawie przygotowań do drugiego Światowego Kongresu Obrońców Pokoju, który postanowiono zwołać na 13 — 19 listopada roku bieżącego w Anglii. Biuro Stałego Komitetu w swojej odezwie wyjaśnia stanowisko i zadania światowego ruchu obrońców pokoju w obecnej sytuacji międzynarodowej. Odezwa ta głosi:

„Wokół apelu sztokholmskiego zjednoczyły się i w dalszym ciągu jednoczą się setki milionów mężczyzn i kobiet. W imieniu tych milionów mężczyzn i kobiet biuro Stałego Komitetu Światowego Kongresu Obrońców Pokoju zwołuje Drugi Kongres, który obradować będzie od 13 — 19 listopada 1950 roku w Wielkiej Brytanii.

Zaostrzona w ostatnich czasach sytuacja międzynarodowa zagraża bezpośrednio powszechnemu pokojowi i nakłada na wszystkich obrońców pokoju nowe, poważniejsze niż kiedykolwiek dotąd zobowiązania.

Obrońcy pokoju prowadzą w dalszym ciągu kampanię zmierzającą do zakazania broni atomowej i ponownie wypowiadają się za powszechnym ograniczeniem i kontrolą nad wszelkiego rodzaju zbrojeniami, których wzrost zwiększa niebezpieczeństwo wojny i nakłada na narody ciężkie ofiary.

Obrońcy pokoju występują przeciwko wszelkiej agresji, gdziekolwiek by się ona nie rozpoczęła i potępiają zbrojną interwencję w wewnętrzne sprawy narodów. Żądają zaprzestania tego rodzaju interwencji we wszystkich krajach, w których ona nastąpiła.

Obrońcy pokoju witają i popierają kroki pokojowe zmierzające do położenia kresu wojnie w Korei, będącej ogniskiem, które stwarza groźbę powszechnego konfliktu.

Obrońcy pokoju zdecydowanie występują przeciw masowym bombardowaniom, których ofiarą pada ludność cywilna.

Obrońcy pokoju żądają, aby Rada Bezpieczeństwa, w skład której powinni wchodzić rzeczywici przedstawiciele pięciu wielkich mocarstw, jak najprędzej zajęła się pokojowym uregulowaniem kwestii koreańskiej i dała możliwość wypowiedzenia się przedstawicielom obu zainteresowanych stron.

Obrońcy pokoju żądają zakazania wszelkiej agresji w jakimkolwiek kraju, która powoduje rozpętywanie wojny.

Wzywamy wszystkich obrońców pokoju na całym świecie do organizowania masowych dyskusji publicznych nad tymi postulatami i do wybierania na Drugi Światowy Kongres tych, którzy są wyrazicielami ich przekonań.

„Zwracamy się z apelem do wszystkich organizacji — politycznych, zawodowych, kulturalnych, społecznych i religijnych, jak również do kobiet i młodzieży — do wszystkich, którzy pragną utrzymania pokoju na całym świecie, aby niezależnie od ich przekonań politycznych i motywów ideologicznych, które ich do tego skłaniają, wzięli udział w wykonaniu tego zadania.

Znamy tę siłę, którą już teraz reprezentuje ogromna większość ludzi, zjednoczonych wokół apelu sztokholmskiego. Zjednoczenie to powinno rozszerzać się i rosnąć. Mogliśmy ocenić całą skuteczność podjętej przez nas kampanii.

Tak więc uczyniliśmy już pierwsze kroki. Za nimi nastąpią dalsze, które mogą i powinny doprowadzić narody do trwałego pokoju, którego pragną wszyscy.

Pokoju tego nie można osiągnąć siłą oręża. Pokój ten osiągniemy powszechnym wspólnym wysiłkiem wszystkich mężczyzn i kobiet dobrej woli, którzy zdolni są do wywalczenia zwycięstwa rozumu i sprawiedliwości“.

336 milionów ludzi złożyło już swe podpisy pod apelem sztokholmskim, podkreślając w ten

sposób swą wolę pokoju. Uchwały biura Stałego Komitetu Światowego Kongresu Obrońców Pokoju nakreślają dalszy plan działania dla tych milionów ludzi. Przygotowania do Drugiego

Światowego Kongresu Obrońców Pokoju przyczynią się niewątpliwie do dalszego wzmocnienia i rozszerzenia frontu pokoju i aktywizacji działalności jego obrońców.

Przywódcy trade-unionów — sługusi podżegaczy wojennych

E. GOROCHOW

W SKANDALICZNYM pochodzie przeciwko obrońcom pokoju w Anglii zjednoczyli się labourzystowski rząd i „konserwatywna“ opozycja, zmarshallizowana prasa i reakcyjne duchowieństwo, policjanci Chuter Ede'a i bandyci faszystowscy Oswalda Mosley'a. Do tej pstrej kompanii sługusów agresywnego imperializmu amerykańskiego przyłączyli się również kierownicy brytyjskiego Kongresu Związków Zawodowych (Trade - Unionów). W specjalnej uchwale Rada Generalna brytyjskich trade-unionów wezwwała wszystkie wchodzące w skład Rady związki zawodowe do nieuczestniczenia w pracach Angielskiego Komitetu Obrońców Pokoju i niepodpisywania jego petycji w sprawie zakazu broni atomowej.

Zakazując związkom zawodowym uczestniczenia w walce narodu angielskiego o pokój, klika Deakina - Tewsona popełniła nową wielką zdradę interesów klasy robotniczej. Jest rzeczą wiadomą, że ciężary wojny i przygotowań wojennych spadają przede wszystkim na barki mas pracujących.

Polityka awantur wojennych, wyścigu zbrojeń, prowadzona przez rząd labourzystowski na rozkaz Waszyngtonu, spowodowała już wzrost drożyzny, spadek realnych płac roboczych, zaostrenie kryzysu mieszkaniowego i wiele innych plag.

Niedawno przewodrzy labourzystowscy skazali naród angielski na nowe ofiary. Na żądanie amerykańskich dyrygentów paktu atlantyckiego rząd angielski uchwalił nowy program zbrojeń, którego wykonanie będzie wymagało w ciągu najbliższych trzech lat wydatkowania 3,4 miliarda funtów szterlingów. W ten sposób wojskowy budżet Anglii, który i tak jest obecnie niesłychanie rozdęty, wzrośnie co najmniej o 25%. Pociągnie to za sobą dalszy, jeszcze bardziej gwałtowny spadek stopy życiowej mas pracują-

cych. Do tego prowadzi również nieuchronnie udział Anglii w agresji amerykańskiej przeciw Korei. Ponurą zapowiedzią nowych cierpień, które czekają naród angielski, jest także przybycie do baz angielskich dalszych trzech amerykańskich pułków lotnictwa wojskowego.

Masy pracujące Anglii wkraczają w okres ostrych walk o swe ekonomiczne i społeczne prawa. Rezultaty tej walki zależne są przede wszystkim od osiągnięć powszechnej walki o pokój, która rozwinęła się we wszystkich krajach, między innymi również w Anglii. Dlatego właśnie coraz więcej prostych ludzi przyłącza się w Anglii do frontu aktywnej walki o pokój, o zakaz barbarzyńskiej broni atomowej. Osiemset tysięcy Anglików złożyło już swoje podpisy pod petycją Angielskiego Komitetu Obrońców Pokoju, opartą na apelu sztokholmskim.

W takiej to chwili przewodrzy brytyjskich trade-unionów podjęli próbę zadania zdradzieckiego ciosu ruchowi obrońców pokoju. Uchwała Rady Generalnej ma na celu rozbrojenie związków zawodowych w obliczu wzmagającej się ofensywy podżegaczy wojennych na stopę życiową i prawa mas pracujących.

Powziąwszy tego rodzaju decyzję, klika Deakina - Tewsona wykazała, że Rada Generalna Brytyjskiego Kongresu Trade - Unionów posłusznie i ściśle kroczy śladami prawicowych przywódców partii labourzystowskiej, którzy oświadczyli niedawno, że udział w ruchu obrońców pokoju nie da się pogodzić z przynależnością do tej partii.

Ażeby w jakikolwiek sposób usprawiedliwić swój zdradziecki krok, związkowi wspólnicy Chuter Ede'a i Oswalda Mosley'a usiłują przedstawić powszechny ruch w obronie pokoju jako „manewr komunistów“. W okólniku Rady Generalnej ogłoszonym w dniu 5 sierpnia, Tewson powtarza, że Angielski Komitet Obrońców Po-

koju rzekomo „spełnia żądania Kominformu“ itp. Fakt, że dziennik labourzystowski „Daily Herald“ stoczył się tak nisko, że nazywa osiemset tysięcy Anglików, którzy podpisali petycję pokojową, „otumanionymi prostakami“, świadczy o tym, do jakiego stopnia aktywność ruchu obrońców pokoju w Anglii rozwścieczyła czeladź churchillowską. Przekonywującą odprawę gazecie „Daily Herald“ dał członek parlamentu, labourzysta Cyril Dee, w artykule opublikowanym w piśmie „South Buckinghamshire Socialist“. Cyril Dee pisze:

„Jeśli nie powinniśmy popierać apelu, wzywającego do zakazu bomby atomowej jedynie dlatego, że tego żąda partia komunistyczna, to wówczas, logicznie rzecz biorąc, powinniśmy także twierdzić, że należy zaniechać walki o poprawę bytu i wybawienie się od nędzy, gdyż tego również pragnie partia komunistyczna.“

Krajowe konferencje związków zawodowych, które odbyły się w ciągu ostatnich tygodni, wykazały, że pod sztandarami aktywnej walki o pokój stają szerokie masy zorganizowanych robotników. Sześć wielkich angielskich związków zawodowych zgłosiło na najbliższy kongres trade unionów projekty rezolucji, które wzywają do zakazania broni atomowej i potępienia rządu, który pierwszy użyje tego narzędzia masowej zagłady ludzi.

Doroczna konferencja Związku Zawodowego Kolejarzy skupiającego prawie 500 tysięcy robotników, jednogłośnie uchwaliła rezolucję wzywającą do zakazania wszelkiego rodzaju broni atomowej oraz do rozciągnięcia międzynarodowej kontroli nad wykorzystaniem energii atomowej. Konferencja zobowiązała komitet wykonawczy do wykorzystania wpływów związku celem potępienia jako agresora tego rządu, który pierwszy użyje bomby atomowej. Konferencja Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Tytoniowego zażądała od Rady Generalnej Trade Unionów zwołania konferencji krajowej, któraby opracowała wnioski w sprawie zakazania bomby atomowej i innych narzędzi zagłady.

Konferencje związków zawodowych hutników i strażaków wydały komitetom wykonawczym instrukcje popierania kampanii w sprawie zakazania bomby atomowej i potępienia tego rzą-

du, który pierwszy jej użyje. Petycję Angielskiego Komitetu Obrońców Pokoju podpisał komitet wykonawczy Związku Zawodowego Pracowników Budowlano - Montażowych. Do petycji tej przyłączyły się związki zawodowe pracowników przemysłu samochodowego i elektrotechnicznego. Odbyta niedawno konferencja Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Elektrotechnicznego wezwała komitet wykonawczy związku do „konsekwentnego stosowania takiej polityki, która pomoże wszystkim siłom walczącym o pokój“.

Nawet w tych związkach zawodowych, którym prawicowi labourzystowscy rozbijacze uniemożliwili całkowite przystąpienie do ruchu w sprawie zakazania broni atomowej setki tysięcy szeregowych związkowców opowiedziało się po stronie tego ruchu. Tak np. na dorocznej konferencji Związku Zawodowego Górników, która odbyła się w Leandudno, wniosek wzywający rząd do poparcia żądania natychmiastowego zakazania bomby atomowej i innych środków zagłady masowej uzyskał 261 tysięcy głosów.

Konferencja Związku Zawodowego Górników Szkocji powzięła uchwałę, wzywającą rząd do „wydania zarządzenia w sprawie wycofania lądowych, morskich i powietrznych sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych z terytorium angielskiego i z angielskich wód terytorialnych“. Zlikwidowania baz amerykańskich żądali także uczestnicy konferencji związków zawodowych kolejarzy, hutników i innych. Głośno rozbrzmiewają na konferencjach związkowych głosy robotników wypowiadających się za przyjaźnią z masami Związku Radzieckiego, za solidarnością międzynarodową klasy robotniczej w walce o pokój na całym świecie.

Podżegacze wojenni, jak się okazało, nie są w stanie powstrzymać ruchu obrońców pokoju przy pomocy hałaśliwej propagandy prasowej i pałek policyjnych. Obecnie wprawiają oni w ruch takie rezerwy, jak okólniki swoich sługusów z Rady Generalnej Trade - Unionów.

Jest rzeczą wątpliwą czy uda się klice Deakina — Tewsona oszukać robotników angielskich i zahamować rozszerzanie się frontu obrońców pokoju w Anglii. Okólniki Rady Generalnej demaskują prawdziwe oblicze przywódców trade unionów, jako sługusów podżegaczy wojennych.

Bilanse monopolu amerykańskich

Profesor N. WEIZMAN

BILANSE towarzystw przemysłowych, publikowane corocznie w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach kapitalistycznych, cieszą się od dawna niezbyt chwalebnią opinią dokumentów ukrywających prawdę w sposób bardziej czy mniej kunsztowny. Lenin nazwał bilanse kapitalistyczne „nieprzeniknionymi”. Lecz nawet te tak starannie zamaskowane zestawienia cyfr stają się wbrew woli autorów aktem oskarżenia przeciw obecnym kierownikom amerykańskiego życia gospodarczego.

Artykuł niniejszy oparty jest na analizie bilansu pięciu największych monopolu amerykańskich, a mianowicie: Standard Oil of New Jersey, General Motors, General Electric, trustu stalowego i koncernu du Pont de Nemours. Omawiane przez nas monopole, po pierwsze reprezentują kluczowe gałęzie gospodarki Stanów Zjednoczonych, po wtóre zaś są one typowe ze względu na charakter swej działalności.

Oto rezultaty bilansów tych pięciu największych monopolu w okresie ostatnich 15 — 16 lat, to jest od chwili zakończenia kryzysu lat 1929-1933 (w milionach dolarów):

Nazwa monopolu	Data bilansów		
	1 stycznia 1934 r.	1 stycznia 1939 r.	1 stycznia 1950 r.
Standard Oil of New Jersey	1912	2045	3816
General Motors	1184	1235	2824
Trust stalowy	1832	1711	2556
du Pont de Nemours	541	701	1284
General Electric	375	418	1171

Jak z tego wynika, w okresie lat 1934 — 1939, gdy imperializm międzynarodowy przygotowywał dopiero drugą wojnę światową, bilanse utrzymywały się prawie na jednym poziomie. Wykazują one gwałtowny wzrost dopiero w następ-

nym okresie, gdy wojna stała się źródłem niesłychanego wzbogacenia monopolu, a rozpętana następnie histeria militarystyczna pozwoliła na przedłużenie koniunktury wojennej.

Źródłem tego gwałtownego wzrostu były przede wszystkim bajeczne dochody z dostaw wojennych, których znaczna część pozostała w rękach monopolu w formie tak zwanego „niepodzielonego zysku” (earned surplus). Oto źródła wzrostu bogactw pięciu monopolu w czasie wojny i w latach powojennych:

Nazwa monopolu	Przyrost sum bilansowych za lata 1939 — 1949	W tym		kosztem:
		niepodzielonych zysków i innych rezerw	nowych emisji akcji i obligacji	
Standard Oil of New Jersey	1771	1249	300	222
General Motors	1589	1022	137	430
Trust stalowy	845	474	—5	376
du Pont de Nemours	583	411	112	60
General Electric	753	321	160	272

Jak z tego wynika, bilanse monopolu pęczniały przede wszystkim kosztem „rezerw wewnętrznych”, inaczej mówiąc, kosztem bezpośredniej grabieży drobnych akcjonariuszy.

Charakterystyka olbrzymich zysków osiągniętych przez omawiane korporacje — jak również przez inne monopole w przemyśle amerykańskim — w okresie tak ciężkich dla ludzkości jedenastu lat (rok 1939 — 1949), pozostanie niepełna, jeśli nie wymienimy *sumarycznych cyfr zysków* monopolu w całym tym okresie.

Oto zyski te w milionach dolarów (po odliczeniu podatku dochodowego):

Nazwa monopolu	Dochody w okresie drugiej wojny światowej		Dochody w latach powojennych			Ogólna suma dochodów w okresie powojennym
	Standard Oil of New Jersey	General Motors	Trust stalowy	du Pont de Nemours	General Electric	
Standard Oil of New Jersey	867,9	177,6	268,6	365,6	268,9	1080,7
General Motors	1253,4	87,5	288,0	440,4	656,4	1472,3
Trust stalowy	512,1	88,6	127,1	129,6	165,9	511,2
du Pont de Nemours	562,4	112,6	120,0	157,4	213,7	603,7
General Electric	351,1	43,0	95,3	123,8	125,6	387,7

Najprostsze obliczenie wykazuje, że w latach „zimnej wojny“ zyski pięciu monopolu - gigantów przewyższają znacznie zyski okresu wojennego. Tak na przykład zysk koncernu General Motors w roku 1949 jest 3,6 raza wyższy od przeciętnego dochodu rocznego w latach 1939 — 1945 (180 milionów dolarów). 2,6 raza wzrosły zyski du Ponta, ponad dwukrotnie — trustu stalowego, General Electric i Standard Oil of New Jersey.

Dane sprawozdawcze opublikowane niedawno w „Wall-Street Journal“ i obejmujące okres do 1 lipca 1950 roku wykazują, że w roku 1950 zyski monopolu znów znacznie skoczyły w górę. Rzuca się to w oczy zwłaszcza przy analizie wskaźników za drugi kwartał — to jest w przededniu agresji Stanów Zjednoczonych w Korei. Oto kilka cyfr cytowanych w zestawieniu z tymże okresem 1949 roku:

Nazwa monopolu	Czysty zysk za drugi kwartał (w milionach dolarów)		Przyrost w procentach
	1949	1950	
General Motors	167	273	63,4
Trust stalowy du Pont de Nemours	44	70	59,1
General Electric	43	68	58,1
	19	41	115,7

Mówiąc o olbrzymich zyskach monopolu w okresie poprzedzającym bezpośrednio amerykańską interwencję zbrojną w Korei, należy wspomnieć o dochodach jeszcze jednego przedsiębiorstwa, które nie należy wprowadzić do największych, lecz czerpie szczególne korzyści z obecnej koniunktury. Mamy na myśli firmę Boeing, produkującą samoloty „Latająca Twierdza“, z których lotnicy amerykańscy bombardują obecnie ludność koreańskich miast i wsi. W pierwszym półroczu 1949 roku zysk firmy Boeing nie przekraczał 0,7 miliona dolarów, zaś w tym samym okresie 1950 roku wynosił on 6 milionów dolarów, a więc wzrósł niemal dziewięciokrotnie. W ten sposób krew ludzka zamienia się w dolary!

Nie ma potrzeby wyjaśniać, że wszystkie te olbrzymie bogactwa są wynikiem wzmoczonej eksploatacji setek tysięcy ludzi pracy. Przecież na samych tylko przedsiębiorstwach General Motors w 1949 roku zatrudnionych było 401 tysięcy robotników i pracowników umysłowych, w fabrykach trustu stalowego — 291 tysięcy, w General Electric — 197 tysięcy. Obliczyliśmy, że roczny czysty dochód General Motors wystarczyłby dla wypłacenia każdemu robotnikowi

tej firmy przeciętnie jeszcze jednej stawki zarobkowej w okresie niemal pięciomiesięcznym, czy też inaczej mówiąc, kosztem czystego zysku można by podwyższyć średnią płacę miesięczną prawie półtorakrotnie.

Jednak płaca robocza nie wzrasta, lecz systematycznie spada. Świadczą o tym nawet świadomie wypaczone dane, publikowane przez monopol. Wiele z nich w sprawozdaniach swych wydziela pozycję „płaca robocza“ z ogólnej sumy kosztów produkcji. Do pozycji tej włączane są celowo na równi z płacą roboczą w ścisłym tego słowa znaczeniu, olbrzymie uposażenia dyrektorów, przewyższające setki razy dochód roczny najbardziej wykwalifikowanych robotników.

Jednakże nawet i te publikacje, mające na celu ukrycie prawdy, świadczą, że w okresie ostatnich lat ogólna suma płacy roboczej (do której jak wyżej powiedziano, włączone są również uposażenia dyrektorów) obniża się nieustannie w porównaniu z sumą wpływów ze sprzedaży. Oto kilka cyfr, zaczerpniętych ze sprawozdań rocznych w latach 1947 — 1949:

Nazwa monopolu	Płaca robocza w stosunku procentowym do sumy wpływów		
	1947 r.	1948 r.	1949 r.
General Motors	30,8	27,8	25,2
Trust stalowy	41,1	40,6	39,0
General Electric	42,1	40,8	37,6

W ten sposób nieopłacana praca setek tysięcy robotników przekształca się w bajeczne zyski monopolu.

Autorzy sprawozdań finansowych w komentarzach swych przy każdej okazji oświadczają, że znaczna część dochodów uzyskiwanych przez monopol zabierana jest przez rząd Stanów Zjednoczonych w formie podatku dochodowego i podatku od zysków dodatkowych. Przemilczają oni jednak jakie są dalsze losy tych potrąceń podatkowych, których większa część na skutek zamówień wojennych powraca znów do monopolu — albowiem fundusze na cele wojenne pochłaniają przeszło 70 procent budżetu Stanów Zjednoczonych. Nie wspominają oni również ani słowem o znacznym zmniejszeniu stawek podatkowych monopolu w okresie ostatnich lat na skutek energicznego nacisku wielkiego kapitału na posłusznych mu kongresmenów. Zacytujemy niektóre cyfry z opublikowanych sprawozdań.

Trust stalowy Stanów Zjednoczonych wpłacił w latach 1941 — 1949 mniej więcej taką samą sumę podatku dochodowego: 122,5 miliona do-

larów i 126 milionów dolarów. Jednak w stosunku do sumy wpływów tego trustu pierwsza suma wynosiła 7,6 procent, druga zaś — zaledwie 5,5 procent. W cyfrach absolutnych oznacza to, że trust otrzymał „podarunek” w wysokości około 48 milionów dolarów. Najwyższa suma podatku dochodowego, zapłaconego przez General Motors w latach wojny wyniosła 288 milionów dolarów (1941 rok) czyli 11,8 procent wpływów ze sprzedaży. W 1949 roku suma podatku dochodowego była znacznie wyższa — wynosiła 468 milionów dolarów, lecz stanowiła zaledwie 8,2 procent ogólnej sumy wpływów. Tak więc w porównaniu z 1941 rokiem General Motors płaciła o 205 milionów dolarów mniej podatków niż należałoby się przy zachowaniu poprzedniej skali opodatkowania. Takie są fakty.

* * *

Opublikowane bilanse wykazują, że w rękach monopolii skupione są olbrzymie kapitały, przewyższające znacznie te zasoby, którymi dysponowały one przed drugą wojną światową. Ta okoliczność natchnęła apologetów kapitalizmu do podjęcia starej melodii o nastąpieniu „rozkwit”, o perspektywach bezkryzysowego rozwoju ekonomiki amerykańskiej. Próżne nadzieje! Społeczeństwo kapitalistyczne rządzi się swymi nieubłaganyymi prawami i żadna gra cyfr nie potrafi ukryć powszechnego kryzysu kapitalizmu. Uważna analiza struktury bilansów i sum bilansowych — a w szczególności pozycji aktywów — potwier-

dza słowa W. Mołotowa, wypowiedziane przezeń w marcu 1950 roku:

„Niewiele czasu upłynęło od zakończenia wojny, a sztuczna koniunktura amerykańskiego przemysłu kapitalistycznego, powstała w okresie wojny zaczęła się załamywać”.

Wzrost sum bilansowych monopolii świadczy nie o nowym ożywieniu kapitalizmu, lecz o większych niż kiedykolwiek trudnościach, w obliczu których stoi kapitalizm — system antagonistycznej, ślepo działającej ekonomiki — o trudnościach, które pchają go na drogę awantur wojennych. Godna uwagi jest ta okoliczność, że znaczna część miliardów dolarów, które wpadły do rąk sztykłów imperializmu, jako danina krwi i łez niezliczonych ofiar wojny, okazała się „nadwyżkami”, których monopolie nie są w stanie wykorzystać we własnej gospodarce i starają się ulokować na boku. Aktywa bilansów świadczą o tym bardzo wymownie. Porównajmy tak zwaną materialną część aktywów (tj. wartość urządzeń, surowców, materiałów, produkcji gotowej i półfabrykatów) z sumą wszystkich środków, którymi dysponują monopolie, a zobaczymy że znaczna część kapitału, który znajduje się w dyspozycji danego monopolu, nie bierze udziału w pracy należących doń zakładów przemysłowych, gdyż dalsze rozszerzanie produkcji nie zapewnia tych zysków, dla osiągnięcia których kapitał inwestuje się w przemysł.

Oto pouczające cyfry aktywów pięciu monopolii, ujęte pod tym kątem:

Nazwa monopolii	Data bilansu	Suma bilansowa w mln. dol.	Materialna część aktywów		Pozostała część aktywów	
			Mln. dol.	Procent sumy bilans.	Mln. dol.	Procent sumy bilans.
Standard Oil of New Jersey	1 stycznia 1950 roku	3316	2507	66	1309	34
General Motors	"	2824	1499	53	1325	47
Trust stalowy du Pont de Nemours	"	2556	1728	68	828	32
General Electric	"	1284	541	42	743 ¹⁾	58
		1171	552	47	619	53

¹⁾ W tym 343 miliony dolarów, inwestowanych w przedsiębiorstwach General Motors.

Takie proporcje wynikły już po znacznym odnowieniu i zwiększeniu kapitału zakładowego i rozszerzeniu produkcji w okresie trzech lat powojennych przez wymienione monopolie — co potwierdzają ich sprawozdania.

Wśród pozycji aktywów na szczególną uwagę zasługują dwie: gotówka i państwowe papiery

wartościowe. W chwili obecnej monopolie rozporządzają zaiste rekordowymi sumami swobodnego kapitału pieniężnego. Wystarczy powiedzieć, że na pozycji „cash” — „gotówka” — to znaczy pieniądze na bieżącym rachunku w bankach i w kasach samej firmy — na dzień 1 stycznia 1950 roku firma General Motors posiadała 293 milio-

ny dolarów, trust stalowy — 210 mil. dolarów; du Pont — 162 mil. dolarów. Jest to znaczny wzrost w porównaniu z okresem przedwojennym. Tak więc ilość gotówki w kasie trustu stalowego przekroczyła bezmała dwukrotnie saldo na 1 stycznia 1939 r., podczas gdy suma bilansowa wzrosła półtorakrotnie. Analogiczny przyrost w bilansie General Motors wynosi przeszło 100 mil. dolarów.

O czym to świadczy? Przede wszystkim — o trudnościach, na jakie napotyka korzystna lokata „nadwyżek“ kapitału. Zasięg działalności monopolu poza granicami własnego kraju nie rozszerza się, lecz kurczy. Od kapitalistycznego systemu gospodarczego oderwały się już ważne ogniw: kraje Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej oraz Chiny. Proces ten będzie się i nadal rozwijać, stwarzając coraz to nowe przeszkody na drodze kapitalistycznej grabieży.

Przejdźmy obecnie do innej pozycji aktywów — do papierów wartościowych. W tej dziedzinie wzrost występuje z jeszcze większą wyrazistością, wynosząc setki procent. Papiery wartościowe w aktywach ostatniego bilansu rocznego General Motors wyrażają się cyfrą prawie pół miliarda (486 milionów) dolarów. Portfel obligacji państwowych w posiadaniu trustu stalowego wynosi 361 milionów dolarów. W roku 1939 wynosił on niespełna 20 milionów dolarów. Również i w aktywach innych monopolu figurują papiery wartościowe na milionowe sumy. Fakty te świadczą przede wszystkim o *najbardziej czynnym udziale monopolu przy pomocy ich kapitałów w inspirowanej przez nie agresywnej polityce rządu Stanów Zjednoczonych*.

Na wyścig zbrojeń, na fundusze wyasygnowane w ramach planu Marshalla, na finansowanie faszystowskich reżymów w Europie i w Azji, wreszcie na interwencję wojenną w Korei przeznaczają monopole pokaźny odsetek osiągniętych w latach wojennych i powojennych olbrzymich zysków. W ten sposób finansuje się szaleńcze plany zdobycia panowania nad światem.

Jak widać, monopole lokują znaczną część przyrostu kapitałów rezerwowych w państwowych papierach wartościowych, ponieważ uważają to za rentowny business. Kapitały te powracają doń w formie olbrzymich zysków z zamówień wojskowych. W ten sposób uzyskane kosztem coraz większego wyzysku mas pracujących olbrzymie kapitały dodatkowe wydatkowane są na interwencję w Korei, na produkcję bomb atomowych, jednym słowem — na gospodarkę wojenną. Ale przestawić gospodarkę narcdową na

tory ekonomiki wojennej, oznacza to nieuchronnie, jak stwierdził towarzysz Stalin na XVIII zjeździe partii „ograniczyć spożycie ludności i postawić kraj w obliczu kryzysu ekonomicznego“. Narodowi amerykańskiemu nie wróży to nic dobrego.

Oczywiście, ze wszystkich pozycji materialnej części aktywów najbardziej zasługują na uwagę inwestycje w *kapitał zakładowy*. W okresie do końca 1949 roku mimo wszelkich starań nie udało się monopolom osiągnąć wykorzystania kapitału zakładowego w takim stopniu, jaki osiągnął w okresie wojennym. Tak np. ze sprawozdań trustu stalowego wynika, że w porównaniu z rekordową produkcją stali w roku 1944, produkcja okresu powojennego wyniosła:

1947 — 92,7%

1948 — 95%

1949 — 83,7%

Zamieszczona w numerach kwietniowych czasopisma „Iron Age“ (1949 i 1950) analiza finansowa działalności trustów hutnictwa żelaznego Stanów Zjednoczonych świadczy, że w ciągu dwóch ostatnich lat procent wykorzystania potencjału produkcyjnego (per cent capacity operated) trustu stalowego spadł z 93,8 proc. do 82,5 proc., tj. prawie o 1/8. W okresie drugiej wojny światowej omawiany wskaźnik wzrósł do 98,1 procent.

Jeżeli sprawozdania finansowe za rok 1950 wykażą poważny wzrost w tej dziedzinie, to będzie to tylko nowym potwierdzeniem starej prawdy, że chwilowe zmniejszenie się niepełnego wykorzystania możliwości produkcyjnych przedsiębiorstw, tej chronicznej bolączki kapitalizmu w okresie jego kryzysu powszechnego, pozostaje w bezpośrednim związku z krwawymi awanturami wojennymi.

Jak wiadomo, w latach powojennych w przedsiębiorstwach należących do największych monopolu kurczył się nieprzerwanie ogólny stan zatrudnienia i faktu tego nie były w stanie ukryć opublikowane sprawozdania. Przytoczymy kilka zacierpniętych stamtąd informacji:

W roku 1943 ogólna liczba robotników i pracowników umysłowych zatrudnionych w przedsiębiorstwach trustu stalowego osiągnęła rekordową wysokość 340 tys. W roku 1949 liczba ta wyniosła 291 tys. ludzi. Tak więc straciło przez ten czas pracę blisko 50 tys. ludzi, w tym 5,5 tys. zredukowano w roku 1949.

Autorzy sprawozdania z działalności General Electric zmuszeni są przyznać, że w roku 1949

liczba zatrudnionych przez ten koncern robotników spadła ze 197 tys. do 179 tys. czyli o 9 proc. Nawet koncern du Porta, znany ze swego żywego udziału w rozwoju przemysłu „atomowego“ zatrudnił w roku 1949 73,5 tys. robotników i pracowników umysłowych, podczas gdy w poprzednim roku liczba zatrudnionych wynosiła 76,5 tys.

Zbrodnicze plany rozpętywania nowej wojny winny, zdaniem kierowniczych kół gospodarki amerykańskiej, przyczynić się do zwiększonego

wykorzystania mocy produkcyjnej przedsiębiorstw oraz likwidacji rosnących trudności w dziedzinie zbytu — jeźnym słowem zażegnać kryzys gospodarczy i wzbogacić monopole o nowe dziesiątki miliardów dolarów za cenę krwi narodów.

Analiza bilansów monopolu amerykańskich stanowi dokumentalny dowód drapieżnej, bandyckiej istoty współczesnego kapitalizmu, usiłującego wciągnąć cały świat w otchłań nowej wojny.

Dokumenty, które demaskują

A. JERMOŁAJEW

CORAZ częściej wychodzą na jaw nowe dane, demaskujące z góry uplanowane zbrodnicze przygotowania Stanów Zjednoczonych do zbrojnej interwencji w Korei. Można już obecnie zanalizować krok za krokiem, jak przygotowano agresję. Członkowie tzw. komisji koreańskiej Organizacji Narodów Zjednoczonych mimo woli uzupełnili akt oskarżenia przeciwko klice Li Syn Mana i jej amerykańskim mocodawcom. Oczywiście bynajmniej nie leżało w zamiarach tej komisji demaskowanie przygotowań do agresji, a tymbardziej utrudnianie intryg przeciwko Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej. Tym większa jest wymowa tych faktów, figurujących w sprawozdaniach komisji, stwierdzających całkowitą odpowiedzialność kliki Li Syn Mana i imperialistów amerykańskich za spowodowanie przelewu krwi w Korei.

Znamienne są pod tym względem sprawozdania oficjalne komisji koreańskiej opublikowane jako dokumenty nr A/936 i A/936/1. W sprawozdaniach tych komisja przyznaje otwarcie i nie bez sympatii, że klika Li Syn Mana sprzeciwia się kategorycznie wszelkim rokowaniom z rządem Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej na temat pokojowego zjednoczenia kraju (tom I str. 43) i że „rząd“ seulski od dawna rozpoczął „przygotowania do wojny“ przeciwko Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej (tamże, str. 44). Jak podaje sprawozdanie, rząd Li Syn Mana w tym celu

„spieszy rozwinąć przygotowania wojenne i usilnie prosi Stany Zjednoczone o udzielenie

mu dodatkowej pomocy wojskowej niezależnie od już poprzednio otrzymanej (tom I, str. 45)... Istnieją dane wskazujące na fakt, że rząd (Li Syn Mana — A.J.) zwrócił się do Stanów Zjednoczonych z prośbą o dostarczenie broni i amunicji dla 400.000 wojska, z których 200 tysięcy stanowić ma rezerwę“ (tamże str. 32).

Ze sprawozdania wynika również, że agresorzy amerykańscy uwzględnili prośbę swych marionetek południowo-koreańskich: organizowali, uzbrajali i ćwiczyli armię Li Syn Mana przygotowując ją do roli narzędzia swej kolonialnej polityki. W marcu 1949 r. armia ta liczyła już 8 dywizji piechoty, przy czym jak donosiła komisja przewidywano utworzenie jeszcze dwóch dywizji. Wszystkie te dywizje w przyspieszonym trybie uzupełniano do stanu bojowego, po 15 tys. każda. Prócz tego w armii utworzono oddziały pancerne, przeciwczołgowe, artyleryjskie, saperskie i transportowe. Jednocześnie agresorzy amerykańscy pomogli lisynmanowskiemu militarystom zbudować flotę wojenną (80 okrętów), jak również zorganizować oddziały policyjne, które liczyć miały 60 tys. osób (tom. I, str. 31—32).

W czerwcu 1949 r. jako uzupełnienie do tych sił zbrojnych pod kierownictwem amerykańskich kół wojskowych sformowano z faszystów i wszelkiego rodzaju elementów przestępczych zbrojny „narodowy korpus młodzieży“, który spełniał „funkcje policyjne“ terroryzując ludność Po-

łudniowej Korei, organizował pogromy i morderstwa. Jak zaznacza komisja koreańska „w charakterze doradcy przy tym korpusie mianowano Amerykanina, który zdobył duże doświadczenie w Stanach Zjednoczonych“ (tom. I, str. 32).

W ten sposób według najskromniejszych obliczeń łączna liczebność wojsk Li Syn Mana już w roku 1949 wynosiła co najmniej 200 — 250 tysięcy osób. Od tej pory liczba wojska wzrastała nieustannie. Wzmiankowana komisja Organizacji Narodów Zjednoczonych przyznaje w sprawozdaniu, że przygotowując się do napaści na Koreańską Republikę Ludowo-Demokratyczną „rząd“ Li Syn Mana

„przyspieszył tempo zbrojenia w drodze stałego uzupełniania i przygotowywania swych sił zbrojnych. Nabył on od amerykańskich wojsk okupacyjnych broń i amunicję i czyni energiczne starania, aby w przyszłości otrzymać jeszcze większą ilość broni od Stanów Zjednoczonych“ (tom I, str. 31).

Jak wiadomo, przygotowaniom do rozpętania wojny domowej w Korei towarzyszył szalejący krwawy terror przeciwko wszystkim partiom demokratycznym, organizacjom społecznym, przeciwko wszystkim uczciwym demokratom. Dokonano bestialskich morderstw na dziesiątkach tysięcy Koreańczyków, wiele tysięcy wtrącono do więzień i obozów koncentracyjnych. Wzmiankowana wyżej komisja koreańska nie mogła w swych sprawozdaniach całkowicie pominąć milczeniem tego faktu. W szczególności w jednym ze sprawozdań zmuszona jest przyznać, że według otrzymanych od „rządu“ Li Syn Mana oficjalnych doniesień jedynie w okresie od 4 września 1948 r. do 30 kwietnia 1949 r. w Południowej Korei aresztowano 89.710 osób. Funkcjonująca w interesach agresorów amerykańskich komisja nie starała się nawet o pełniejsze dane, dotyczące bestialstw amerykańsko-lisynmanowskiej spółki, jakkolwiek wiadomo było powszechnie, że z rąk bandytów faszystowskich zginęło w Południowej Korei wiele tysięcy patriotów koreańskich.

Członkowie komisji koreańskiej, których przecież nie werbowano spośród ślepych i głuchoniemych, nie mogli nie wiedzieć o zbrodniach kliki Li Syn Mana. Sprawozdanie komisji zawiera opis obozu koncentracyjnego w Czedżu, gdzie

„w starym magazynie towarowym członkowie komisji ujrzeli 2 tysiące więźniów. Kobiet było mniej więcej trzy razy tyle, co mężczyzn, w obozie było wiele niemowląt i małych dzieci“.

Inna grupa tejże komisji, która zwiedziła rejon Sogwipo w znajdującym się tam obozie koncentracyjnym również spotkała setki kobiet i dzieci.

Uzupełnieniem świadectwa tzw. koreańskiej komisji ONZ, która była doskonale poinformowana o agresywnych przygotowaniach w Południowej Korei, są liczne doniesienia, które w swoim czasie ukazały się na łamach prasy amerykańskiej. Wiele z nich uszło wówczas niepostrzeżenie uwagi. Dopiero obecnie można w pełni ocenić ich prawdziwy sens.

Tak więc 31 czerwca 1949 r. agencja Associated Press donosiła z Seulu, że

„pewne nader wpływowe osobistości w utworzonym z inicjatywy Amerykanów rządzie południowo - koreańskim nalegają na wtargnięcie do Północnej Korei“.

Tegoż dnia agencja United Press przepowiedziała znacząco możliwość wielkiego starcia, które nastąpi „w najbliższej przyszłości“. Władze amerykańskie zgadzały się milcząco na te procektwa. Aby się jednak nie demaskować przedwcześnie naczelnik wydziału bezpieczeństwa amerykańskiej misji wojskowej w Południowej Korei, Jones, jak doniosła agencja United Press, zwrócił uwagę na konieczność bardziej ostrożnego obchodzenia się z dokumentami, aby zmniejszyć „przenikanie informacji“.

W numerze z 5 czerwca 1950 r. tj. zaledwie na 20 dni przed napadem na Koreę Północną, reakcyjne czasopismo „Times“ oświadczyło chętnie, że marionetkowy reżym Li Syn Mana w Południowej Korei

„w ciągu dwóch lat uzyskał doskonale wyćwiczoną i uzbrojoną pierwszorzędną armię. Wielką zasługę w tej dziedzinie przypisać należy grupie doradców armii amerykańskiej... najlepsi oficerowie tej nowej armii koreańskiej służyli w randze majorów lub poruczników w armii japońskiej“.

Szef amerykańskiej misji wojskowej w Seulu, generał Roberts, który po pierwszych starciach tchórzliwie zbiegł z Korei, oświadczył (cytuje-

my wg „New York Herald Tribune“ z 5 czerwca), że działalność jego w Południowej Korei:

„stanowi żywy dowód, że rozumnie i intensywnie wykorzystując 500 zahartowanych w bojach żołnierzy i oficerów amerykańskich można wyszkolić 100 tys. żołnierzy, którzy będą bić się za was“.

Bić się za was — tj. w obronie interesów monopolu amerykańskich w Azji!

Imperialiści amerykańscy byli tak przekonani o sukcesie, że nawet wówczas nie uważali za stosowne ukrywać swej roli podżegaczy wojennych w Korei. „Zwycięzców się nie sędzi“. Rozumował najwidoczniej tenże Roberts, kiedy w cytowanym już oświadczeniu przyznawał, że faktycznie jest dowódcą armii Li Syn Mana, jako że ma prawo „po prostu wyrzucić każdego, kto nie zastosuje się do jego rady“!

Co więcej, są wszelkie dane do przypuszczenia, że przygotowując marionetkową armię Li

Syn Mana do zbrojnego wtargnięcia na północ, imperialiści amerykańscy traktowali swe doświadczenie jako przykład dla działań w innych częściach świata. General Roberts usiłował nawet sformułować swoisty kodeks prowadzenia wojny cudzymi rękami:

„Jeśli zamierzacie przygotować obcą armię, to musicie posiadać dostatecznie wielkie etaty, aby można było we wszystkich instancjach aż do batalionu włącznie umieścić Amerykanów. W każdej dywizji koreańskiej posiadam co najmniej 13 — 14 Amerykanów... Zainstalowaliśmy nawet równoległą sieć radiową z tłumaczami, abyśmy mogli kontrolować działania Koreańczyków“.

Sprawozdania tzw. komisji koreańskiej Organizacji Narodów Zjednoczonych łącznie z doniesieniami korespondentów, poinformowanych o planach napaści na Północną Koreę demaskują rząd Stanów Zjednoczonych, który przygotował i zrealizował agresję w Korei.

Amerykański żołnierz w Korei

(Na łamach prasy zagranicznej)

N. CZEREDNICZENKO

BEZSILNA wściekłość w połączeniu z przykrym rozczarowaniem — oto jak można określić reakcję prasy monopolu na niepowodzenia wojenne amerykańskich agresorów w Korei.

Armia, która wylądowała na cudzej ziemi w grabieżczych i zaborczych celach, napotkała bohaterki opór narodu i otrzymała należytą odprawę. W kołach prasowych Wall Street, które tak gorliwie urabiały opinię publiczną na rzecz agresji w Korei i szerzyły złudzenia o wszechpotęgde wojsk amerykańskich zapanowała konsternacja. Gazety szukają obecnie przyczyn, dlaczego nie stało się tak jak tego chcieli. Szukając odpowiedzi na to pytanie korespondenci amerykańscy w Korei usiłują zanalizować morale armii, która wtargnęła do Korei oraz nastroje żołnierza amerykańskiego. Obserwacje ich w tej dziedzinie są niewątpliwie bardzo interesujące.

Korespondent agencji Associated Press, Boil, który w ciągu pięciu tygodni cofał się wraz z armią interwentów, w korespondencji z 9 sierpnia pisze, że amerykański żołnierz po od-

prawie ze strony Koreańczyków jest „oszołomiony i zbity z tropu“. Napotkany opór był dla niego niespodzianką. Oficerowie Mac Arthura odnoszą się z pogardą do narodu koreańskiego i jego armii. Zarówno Koreańczykom jak i tubylcom wysp Oceanu Spokojnego nadali oni pogardliwe przezwisko „gooks“. Wmawiano żołnierzom, że nie jest to poważny przeciwnik, że ucieknie on

„przy pierwszym poważniejszym uderzeniu gdy tylko zobaczy, że działają przeciwko niemu Amerykanie“.

— Tak właśnie traktowaliśmy ich kiedy pierwszy raz wystąpiliśmy przeciwko nim. Sądziliśmy, że gdy tylko zobaczą nasze mundury wojskowe, natychmiast rozpoczną odwrót — mówił Boilowi jeden z młodszych oficerów.

Naród koreański, który w ciągu 5 lat zdołał stworzyć przodujące państwo demokratyczne, broniąc go obecnie od obcych zaborców i ich slugusów południowo - koreańskich dał dowody bohaterstwa, które wywołały popłoch w oddziałach amerykańskich.

„Nigdy żołnierze nie przeżywali tak okrutnego rozczerzowania — pisze Boil, — Byli oni niemal tak zdziwieni, jak byłby zdziwiony amerykański pułk kawaleryjski w ubiegłym stuleciu, gdyby wyruszając na wyprawę w celu zdławienia powstania Indian, ujrzał nagle czerwonoskórych, uzbrojonych w sprzęt wojenny współczesnej dywizji czołgowej“.

Widocznie oficerowie amerykańscy, przedstawiali żołnierzom interwencję w Korei jako pasjonujący spacer wojenny, nie połączony ze szczególnym ryzykiem i otwierający nieograniczone możliwości grabieży.

Rzeczywistość obróciła w niwecz całą tę bandycką idyllę. Nikczemna teoria „wojny prowadzonej cudzymi rękami“ pozostała w sferze teorii — Amerykanie muszą bić się sami. Powitały ich kule i czołgi. Żołnierze amerykańscy, pisze Boil —

„wciąż jeszcze w żaden sposób nie mogą się pogodzić z faktem, że „gooks“ ...zdolni są do prowadzenia wojny dwóch typów: wojny partyzanckiej w górach i wojny nowoczesnej z zastosowaniem naukowych metod i oddziałów pancernych w dolinach“.

Starając się utrzymać lansowaną przez podżegaczy wojennych wersję jakoby jedynie siła techniczna mogła zadecydować o sukcesie agresji, Boil pisze o żołnierzach amerykańskich:

„Są to synowie wieku mechanizacji. Są oni oburzeni, że kraj nie potrafi zaopatrzyć ich ilościowo i jakościowo w broń niezbędną dla zadania porażki tym „gooks“...“

Korespondent agencji Associated Press usiłuje nie zauważyć oczywistego faktu, że i na wojnie decydują ostatecznie nie bomby, lecz ludzie. Boil woli się ograniczyć do oficjalnej koncepcji: „dajcie — mówi — więcej broni, a my ich rozgromimy...“.

13 sierpnia na łamach „New York Times“ ukazał się artykuł Richarda Johnstona, który rzucił dodatkowo światło na morale armii amerykańskiej w Korei. Korespondent ten rozmawiał — jak twierdzi — z żołnierzami z obsługi artyleryjskiej, z żołnierzami czekającymi w kolejkach po obiad, maszerującymi w kolumnach, idącymi na linię frontu, z żołnierzami w lazaretach polowych, w szpitalach, pociągach i samolotach.

„Po powrocie do sztabu — pisze on — po przeszło dwutygodniowym pobycie z armią na linii obrony, człowiek zaczyna rozumieć całą trudność sytuacji żołnierzy amerykańskich w Korei. Przeciętny żołnierz nie wie, o co walczy w Korei... Jest najwidoczniej zaskoczony, widząc, że go tak

szybko przerzucono z Japonii, z wyspy Okinawa, z wysp Hawaj, gdzie pełnił spokojną służbę garnizonową, czy też ze spokojnej atmosfery Stanów Zjednoczonych, do brudów i okropności pola walki. Przed nim wróg fanatyczny, rzutką i wytrwały. Wszystko to nasuwa mu myśl, że ktoś wpłatał go w kabałę, której nie rozumie“.

Rozmawiając z Johnstonem młody żołnierz piechoty wyraził w dosadnych słowach stan ducha wysłanej do Korei młodzieży amerykańskiej:

„...Niech mnie diabli wezmą, jeżeli rozumiem dlaczego się biję... Po drodze słyszałem jakieś bzdury o tym, że się to robi dla Organizacji Narodów Zjednoczonych. Gdzież więc pozostałe narody zjednoczone?“

Johnston zaobserwował, że wśród żołnierzy amerykańskich panuje atmosfera beznadziejności i niewiary w sukces przedsięwziętej awantury. Jeden po drugim żołnierze mówili, że nie rozumieją po co właściwie ryzykują życiem w Korei.

Dowódca pewnego oddziału piechoty powiedział Johnstonowi:

— „Mogę nakazać moim podwładnym co mają robić. Mogę im pokazać, jak to mają robić, ale dopóki nie zrozumieją dlaczego to robią, nigdy nie nie będą tego robić dobrze“.

Uwagi te są szczególnie interesujące w zestawieniu z ostatnimi doniesieniami o wydarzeniach w 24-tym pułku VIII armii amerykańskiej, gdzie żołnierze jednego batalionu opuścili swe pozycje bojowe, odmówili pójścia w bój i strzelali do swych oficerów. W odpowiedzi na to Mac Arthur rozstrzelał 28 żołnierzy, obecnie zaś organizuje specjalne oddziały, które mają strzelać do cofających się wojsk amerykańskich.

Z zanotowanych przez Johnstona rozmów wiadać, że wersje lansowane przez Achesona i Austina o celach wojny w Korei są dla żołnierzy amerykańskich nieprzekonywujące. Niedostępną obłudą tych kłamstw jest naturalnie zrozumiała dla tych, którzy są bezpośrednimi wykonawcami rozboju wojennego. Tam na miejscu, w Korei, żołnierze widzą na własne oczy, jak ustosunkował się naród koreański w północnej i południowej części kraju do agresorów i do lisynmanowców, zaczynają rozumieć rolę lisynmanowców.

Pod tym względem wypowiedzi jeńców amerykańskich mogą uzupełnić obserwacje korespondentów. Oczywiście żołnierze i oficerowie amerykańscy, którzy dostali się do niewoli mogą sobie pozwolić na wypowiedzi szczerze niż w rozmowach z korespondentami. Oto przytoczone

przez agencję Sinhua 9 sierpnia opowiadanie pewnego porucznika, którego wzięto do niewoli podczas rozbicia 24 dywizji amerykańskiej.

„Kiedy wysłano nas do Korei, byliśmy przekonani, że powinniśmy pomóc narodowi Korei Południowej obronić jego republikę, przywrócić pokój i porządek. Po przybyciu do Korei przekonaliśmy się, że większość ludności Korei Południowej nie dokłada szczególnych starań dla obrony rządu Li Syn Mana. Tysiące żołnierzy południowo-koreańskich uciekają z pola bitwy i pozostałe niewielkie grupy Amerykanów muszą walczyć z wojskami Korei Północnej. Wielu żołnierzy amerykańskich i południowo-koreańskich poległo. Ludność cywilna Korei Południowej w ogromnej większości nie zdradza zbyt wielkiej chęci obrony swego rządu... Przekonaliśmy się, że ludność Korei Południowej pragnie zjednoczyć się z ludnością Korei Północnej... Zrozumiałam jest rzeczą, że naród koreański nienawidzi interwencji”.

Z artykułów prasy amerykańskiej wynika, że kierownicy aparatu propagandowego w Waszyngtonie są zbiegi z tropu i nie wpadli dotąd na pomysł, w jakim świetle przedstawić opinii publicznej to, co się dzieje w Korei. Czasopismo „United States News and World Report” z 14 lipca zamieszcza stenogram rozmowy telefonicznej redakcji z Josephem Frommem stojącym na czele dalekowschodniej placówki korespondencyjnej czasopisma w Tokio. Rozmowa dotyczyła sytuacji w Korei. Stawiając pytania redakcja bardzo się starała naprowadzić Fromma na jakiegokolwiek optymistyczne wypowiedzi. Próby te jednak speliły na niczym.

Fromm oznajmił, że wojska Li Syn Mana są zdemoralizowane i nie można na nie liczyć: „będziemy musieli całą tę robotę wykonać sami”. Tymbardziej — dorzucił on głęboką uwagę — że „z chwilą, kiedy zaczęliśmy się cofać — trudno się zatrzymać”. Fromm wspominał, że armii amerykańskiej „brak doświadczonych żołnierzy”. I z mimowolnym szacunkiem wyrażał się o umiejętnościach i bohaterskich operacjach koreańskiej armii ludowej. Na pytanie, jaki jest „duch naszych wojsk” Fromm odpowiedział wymijająco. Zresztą jest to zupełnie zrozumiałe. Cytujemy wyjątek z rozmowy:

„Pytanie: Ile czasu spędził pan w tym tygodniu w Korei, Joe?

Odpowiedź: Wyruszyłem na front z pierwszymi Amerykanami i wraz z nimi przeżyłem pierwszy atak z powietrza. Było to poprostu straszne...

Pytanie: Złakł się pan?

Odpowiedź: Czy się złęknę? Ogarnęło mnie po prostu paniczne przerażenie. Rzuciłem się do ścieku kanalizacyjnego, który znajdował się w pobliżu punktu, gdzie znajdowało się stanowisko dowódcy. Kiedy stamtąd wylazłem, możecie mi wierzyć, nie pachniało ode mnie różami”!

Kiedy Fromm wyraził zadowolenie w związku z barbarzyńskimi nalotami bombowymi na otwarte miasta koreańskie, redakcja przerwała mu:

„Pytanie: Wysłanie wojsk lądowych do Korei świadczy, że widocznie zdaniem specjalistów nie można osiągnąć zwycięstwa przy pomocy samego tylko lotnictwa. Czy nie tak?

Odpowiedź: Zupełnie słusznie. I przyznaję to wszyscy nasi lotnicy poczynając od generałów, a kończąc na szeregowych. Pod wieloma względami uważa się to tutaj za cenne doświadczenie. Bo przecież ostatecznie niektórzy nasi wojskowi mówili o możliwościach naszych sił zbrojnych w sposób wprowadzający w błąd opinię publiczną. Wydaje się, że obecnie mamy już niewątpliwe dowody, jak wygląda rzeczywistość...”

Rzuca się w oczy, że zarówno Fromm jak i Boil skłonni byli popierać oficjalną wersję, jakoby armia amerykańska nie przygotowana była do napadu na Koreę. Wersję tę jednak obalają inni korespondenci, jak np. John Osborne z czasopisma „Life”. Demaskując mimo woli szerzone przez imperialistów kłamstwa jakoby wydarzenia w Korei „były dla Stanów Zjednoczonych niespodzianką”. Osborne pisze:

„Na całej przestrzeni naszej historii nigdy jeszcze nie byliśmy do tego stopnia przygotowani do rozpoczęcia jakiegokolwiek wojny, jak w początkach tej wojny. Dziś zaledwie po kilku tygodniach od chwili rozpoczęcia wojny, mamy w Korei więcej żołnierzy i broni niż wysłaliśmy do Północnej Afryki w listopadzie 1942 r. w 11 miesięcy po wydarzeniach w Pearl-Harbour”.

Jest to znamienne świadectwo całkowicie potwierdzone przez fakty! Jest rzeczą jasną, że o ile armia amerykańska była do czegośkolwiek nie przygotowana, to chyba do tej odprawy, jaką dał jej naród koreański. W tym świetle należy oceniać wypowiedzi niektórych korespondentów, w szczególności Boila, na temat „psychicznego nieprzygotowania” wojsk amerykańskich do wojny w Korei.

„Wróg — czytamy w rozkazie naczelnego dowódcy Armii Ludowej Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej Kim-Ir-Sena, wydanym

z okazji 5 rocznicy wyzwolenia Korei — liczył na to, że przy pierwszym uderzeniu nasza Armia Ludowa zostanie rozbita i utraci zdolność oporu, a cała Korea przeistoczy się w kolonię amerykańską i ognisko wojny na Dalekim Wschodzie. Dlatego też gwałcąc brutalnie wszystkie normy międzynarodowe wróg napadł zdradziecko na naszą ziemię. Ale wróg srodze się przeliczył w swych rachubach. Nie uwzględnił bowiem możliwości naszych sił lądowych i morskich, jedności naszego narodu, który postanowił niezłomnie wywalczyć wolność i niezawisłość. Wytrwałość i męstwo naszych sił lądowych i wojenno-morskich, naszych oddziałów ochronnych, partyzantów i partyzantek, przekreśliły plany wrogów“.

Dlatego wróg wścieka się. Dowództwo amerykańskie zastąpić pragnie brak ducha bojowego i niechęć wśród żołnierzy amerykańskich do walki, podsycaniem w nich najniższych zwierzęcych instynktów. W armii, która wtargnęła do Korei, wskrzesza się obyczaje hitlerowskie, zachęca się do płaudowania, do grabieży, do bestialskiego rozprawiania się z cywilną ludnością. Zezwierzęcenie interwentów w Korei przejdzie do historii najstraszliwszych zbrodni wojennych. W czasie odwrotu wojska amerykańskie i ich południowo-koreańscy pomocnicy mordują tysiące więźniów politycznych. Armii Ludowej udało się uratować 12 tys. więźniów, przebywających w olbrzymich kazamatkach w rejonie bramy zachodniej Seulu oraz 5 tys. więźniów w więzieniu Mano. Już same te cyfry świadczą o rozmiarach potwornej masakry ludności koreańskiej. Wyzwoleni więźniowie opowiedzieli, jak rozstrzeliwano masowo niewinnych ludzi, opowiadali o stosowanych w czasie przesłuchania straszliwych torturach. Narzędzia tortur znaleziono na miejscu zbrodni oraz w kancelariach więzień.

Charakterystyczne fakty, świadczące o niskim poziomie moralnym armii amerykańskiej i o hitlerowskich obyczajach, które stara się jej zaszczerpić dowództwo, przytacza wspomniany już korespondent czasopisma „Life“ John Osborne. Opisuje on bestialskie mordowanie jeńców i ludności cywilnej, opowiada, jak oficerowie amerykańscy rozkazywali żołnierzom strzelać do cywilnej ludności, przytacza wypadki, kiedy żołnierze amerykańscy rozpoczęli strzelanie przeciw

„zbliżającej się do nich grupie uciekinierów, mimo że ci ostatni krzyčeli i dawali znaki“.

Osborne podkreśla „szczególne okrucieństwo“ w obchodzeniu się z ludnością cywilną i zazna-

cza, że „nie jest to zwykle okrucieństwo nieuniknione na polu bitwy, lecz dokonywane świadomie i z premedytacją niszczenie wsi i rozstrzelanie uciekinierów“.

„Bestialskich tych aktów — pisze Osborne — dokonuje się zgodnie z dyrektywami policji południowo-koreańskiej... Zabijają, aby pozbyć się kłopotu, jaki nastręcza odprowadzenie jeńców na tyły armii. Mordują cywilną ludność jedynie po to, aby usunąć ją z drogi, aby oszczędzić sobie konieczności rewizji i przesłuchania. Przesłuchania odbywają się okrutnymi metodami, które nie dadzą się wprost opisać. Często zabijają jeńców i cywilów zanim jeszcze ci ostatni zdążą udzielić im jakiegokolwiek informacji“.

W ten sposób również sam korespondent przyznaje, że odpowiedzialność za te zbrodnie wojenne spada na dowództwo amerykańskie, które wydaje rozkazy ich dokonania. W całej prasie ukazał się rozkaz strzelania do każdego Koreańczyka w cywilnej odzieży, który ukaże się gdziekolwiek w polu widzenia wystraszonych przez partyzantów oficerów.

Podobnie jak inni korespondenci, Osborne nie potępia bynajmniej bestialskiego, bezsensownego mordowania ludności cywilnej. Jako wyjaśnienie ma on zawsze w pogotowiu gotową formułkę: konieczność wojenna. Ale przytoczone przezeń fakty dowodzą, że bestialskie rozprawianie się z ludnością cywilną i barbarzyńskie bombardowanie bezbronných, pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia wojennego miast i wsi, ma na celu jedynie zastraszenie ludności i wywarcie zemsty za poniesione na froncie porażki. Mijają się one z celem, umacniają bowiem jedynie naród koreański w przekonaniu o konieczności przeprowadzenia interwentów ze swojej ziemi, a na żołnierzy amerykańskich wywierają oczywiście zdecydowanie demoralizujący wpływ.

Stwierdzając, jak widzieliśmy, że „żołnierz amerykański nie wie, za co się bije w Korei“ Johnston nie proponuje jednak, aby mu to wyjaśnić. Widocznie korespondent rozumie, że Smith'owi czy też Jones'owi nie doda entuzjazmu wyjaśnienie, że zaborczą wojnę prowadzi się po to, aby Mac Arthur, jego wspólnicy i inni bankierzy i przemysłowcy amerykańscy mogli bez przeszkód grabić Koreę i inne kraje Azji. Istnieją wszelkie dane do przypuszczenia, że po takim wyjaśnieniu Amerykanie będą mieli jeszcze mniej ochoty do podstawiania głów pod kulę Koreańczyków, którzy bronią swej ziemi ojczystej, swej wolności i niepodległości.

Na widowni międzynarodowej

NOTATKI

„NIEBEZPIECZNA GŁUPOTA HAROLDA STASSENSA“

HAROLD STASSEN — były gubernator Stanu Minnesota, który dwukrotnie przepadł jako kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych, w oczekiwaniu następnych wyborów kieruje już od dwóch lat uniwersytetem w Pensylwanii, choć jedyną nauką, na której się zna — to adwokackie pieniacstwo i polityczna prowokacja. Może on zresztą pocieszyć się tym, że wielu spośród obecnych kierowników uniwersytetów amerykańskich: generał Eisenhower — w Columbii, admirał Nimitz — w Kalifornii i inni są równie dalecy od nauki. Ich zasadniczą specjalność, to rozpętywanie nowej wojny, przy czym Harold Stassen może współzawodniczyć z każdym w gorliwości w tej dziedzinie. Na jakimkolwiek konkursie podżegaczy wojennych mógłby on przytoczyć jako dowód swe artykuły i przemówienia z okresu dwóch lat, a w szczególności wystąpienie radiowe z 15 sierpnia 1950 r., wygłoszone pod wpływem skandalicznych porażek agresorów amerykańskich w Korei.

W wystąpieniu tym wysunął on pod adresem rządu i Kongresu Stanów Zjednoczonych następujące żądanie: jeżeli w jakimkolwiek kraju („w jakimkolwiek punkcie świata“) agresorzy amerykańscy poniosą klęskę — należy wypowiedzieć wojnę Związkowi Radzieckiemu. Polityka amerykańska powinna polegać na tym, woła Stassen, aby rozwijający się pomyślnie ruch narodowo - wyzwolenczy w jakimkolwiek kraju, aby skuteczne przeciwstawianie się narodowi jakiegokolwiek kraju gwałtem amerykańskich imperialistów

„oznaczało wojnę nie tylko dla tych krajów, ale i dla Moskwy, Uralu i Ukrainy“.

Rozpętanie wojny przeciwko Związkowi Radzieckiemu nie jest w szaleńczych marzeniach Stassena wcale rzeczą trudną: potrzebna jest tylko uchwała amerykańskiego Kongresu, przystrojona następnie pieczęcią Organizacji Narodów Zjednoczonych, a prócz tego coroczne asygnowanie 35 miliardów dolarów na zbrojenia dla Stanów Zjednoczonych i ich satelitów...

Zuchwałe oświadczenie Stassena wprawilo w zakłopotanie nawet jego zwolenników i doświadczone wygi wśród polityków amerykań-

skich. Prasa doniosła, że propozycja Stassena przyjęta była nawet w Kongresie „z wielką rezerwą“. Niektóre gazety nie ukrywały przyczyn tej „rezerwy“. Stassen zbyt otwarcie wyłożył zbrodniczą treść polityki Waszyngtonu.

Solidaryzując się w gruncie rzeczy z „nastrojami“ Stassena, gazeta „New York Times“ w specjalnym artykule redakcyjnym nazwała wypowiedzenie takich „nastrojów“ niebezpieczną głupotą przyczyniającą się do izolacji Stanów Zjednoczonych jako jawnego agresora i do rozpadnięcia się z tak wielkim trudem skleconego bloku atlantyckiego.

Organ giełdźiarzy „Wall Street Journal“ wyraża się w sposób jeszcze bardziej dosadny.

„Główna rzecz polega na tym, że propozycja Stassena może zniszczyć nawet i tę nieznaczną zdolność manewrowania w polityce jaką jeszcze zachował rząd Trumana“.

Jeżeli chodzi o istotę sprawy, to „Wall Street Journal“ zjadliwie zwraca uwagę Stassenowi, że „szczególnie niewłaściwe jest mówienie o drugoczącym ataku na Związek Radziecki w czasie, gdy siły zbrojne, którymi rozporządzamy nie mogą dać sobie rady z północnymi Koreańczykami“. Tak więc nawet Wall Street zmuszona była przyznać, że Stassen nie w porę wygadał się o swych ludożerczych apetytach.

SPÓŹNIONE ODKRYCIE LIVINGSTONA

ANGIELSKI podróżnik, David Livingstone wsławił się swymi odkryciami w dżunglach afrykańskich.

Jego amerykański imiennik John Livingston dokonał spóźnionych odkryć w dżunglach planu Marshalla.

Po powrocie z podróży do Europy, dokąd jeździł jako członek delegacji związku zawodowego robotników przemysłu samochodowego, John Livingston wystąpił na konferencji prasowej z ostrą krytyką planu Marshalla. Fakt niecodzienny, jeżeli wziąć pod uwagę, że podróżnik ten należy do reakcyjnego kierownictwa Kongresu Przemysłowych Związków Zawodowych (CIO), które od dawna odwykło już od przeciwstawiania się kołom rządzącym Waszyngtonu.

John Livingston jest zastępcą przewodniczącego związku zawodowego, w którym rej wo-

dzi Walter Reuther, wierny sługa monopolu i gorliwy zwolennik planu Marshalla. I oto, po zwiedzeniu fabryk samochodów i samolotów w Anglii, Francji, Włoszech i innych krajach Europy Zachodniej, najbliższy pomocnik Reuthera oświadcza, że plan Marshalla nie przyniósł robotnikom nic prócz niedostatku.

Nawet Livingstonowi rzuciła się w oczy niska stopa życiowa i głodowe płace robotników w Europie Zachodniej. Nawet jego wprowadził w zakłopotanie cynizm z jakim współpracujący z Amerykanami kapitaliści „nabijają swe kiesy zyskami, odmawiając jednocześnie polepszenia warunków bytu robotników“.

Byłoby oczywiście błędem przypisywanie niezadowolenia Livingstona z wyników planu Marshalla jego trosce o dobrobyt robotników europejskich. Najważniejsze są dla niego interesy Wall Street. Livingston usiłuje zastraszyć krótkowzrocznych administratorów planu Marshalla tym, że jeżeli sytuacja robotników nie ulegnie poprawie, to w krajach Europy Zachodniej może nastąpić „przewrót“, w wyniku którego Waszyngton nie doliczy się niektórych najbardziej dlań przychylnych rządów.

Zresztą Livingston nie wymyślił nic lepszego dla polepszenia bytu robotników, jak wprowadzenie amerykańskiej kontroli nad poziomem płac w Europie Zachodniej. Ta zuchwała propozycja przypomina znane próby postawienia kozła na straży ogrodu z kapustą.

WOJSKOWO-PSYCHOLOGICZNA DEMONSTRACJA JANKESÓW W BEJRUCIE

W CELU podniesienia osławionego prestiżu amerykańskiego, mocno podważonego interwencją w Korei, Stany Zjednoczone zorganizowały w tych dniach manifestację swej potęgi militarnej w... Libanie.

W tym celu do pokojowych wybrzeży tego niewielkiego arabskiego kraju zawinęły okręty floty śródziemnomorskiej Stanów Zjednoczonych. Z pokładu lotniskowca „Midway“ uniosło się w powietrze 70 samolotów, w tym 12 myśliwców odrzutowych.

Wyjaśniając przyczyny, z uwagi na które ta demonstracja potęgi amerykańskiej była niezbędna, korespondent „New York Times“ w Bejrucie Ross, pisze, że

„trudności (!) na jakie napotkały Stany Zjednoczone w Korei, odbiły się na stanie umysłów całej ludności krajów Bliskiego Wschodu... Wielu

ludzi uważa tu, że popieranie zasady zbiorowego bezpieczeństwa (tj. agresywnego paktu atlantyckiego — Red.) oznacza, że w ostatecznym rachunku kraj ich padnie ofiarą, zostanie spustoszony i okupowany“.

Amerykańscy eksperci w dziedzinie „wojny psychologicznej“ postanowili wybić z głowy mieszkańcom Libanu te całkiem rozsądne myśli. Dlatego też w dniu 14 sierpnia zmuszono mieszkańców Bejrutu do przyglądania się z wyciągniętą szyją amerykańskim bombowcom i myśliwcom.

Wszystko to uszłoby, z pewnością, gdyby mieszkańcy Bejrutu patrzeli tylko w górę. Ale jak długo można stać ze wzrokiem utkwionym w niebo? Opuściwszy zaś oczy ku ziemi, mieszkańcy Bejrutu ujrzeli znacznie mniej efektowny, jakkolwiek lepiej znany obrazek obyczajów amerykańskich.

Na ulicach stolicy Libanu pijani Amerykanie z krzykiem napastowali kobiety, wywoływali awantury. Na wszystkich rogach ulic handlowano z zapalonymi amerykańskimi papierosami, a nawet amerykańskimi automatami. Demonstrując prerogatywy wolnej przedsiębiorczości i prywatnej inicjatywy, przysłani do Bejrutu amerykańscy wojacy spuszczały na czarnym rynku nie tylko państwowy tytoń, ale i broń państwową... Nawet korespondent „New York Times“ nie mógł tego nie zauważyć. Wspomniawszy coś nie coś o dobrym wrażeniu jakie wywarła amerykańska potęga w Bejrucie, dodał natychmiast z zakłopotaniem, że zachowanie się amerykańskich marynarzy „wywołało u wielu miejscowych mieszkańców wrażenie, że flota amerykańska składa się głównie z pijanych chuliganów“.

Taki był najważniejszy efekt kombinowanej wojskowo - psychologicznej demonstracji Jankesów w Bejrucie.

JESZCZE JEDEN WIELKI AMERYKANIN

15 SIERPNIA w Izbie Reprezentantów Stanów Zjednoczonych zdarzył się znamieny fakt. Kongresmeni oddawali honory wielkiemu Amerykaninowi. Był nim Mister May, b. przewodniczący komisji spraw wojskowych. Uroczystość otworzył Mac Cormack, przywódca partii Trumana w Kongresie. Wchodząc na trybunę Mac Cormack oświadczył, że pragnie skorzystać z okazji, aby wyrazić swe uznanie dla Maya. „May to wielki Amerykanin!“ — wykrzyknął patetycznie mówca. Poparł go drugi członek Kon-

gresu, republikanin Short. Prasa doniosła o obu tych wystąpieniach i Ameryka dowiedziała się w ten sposób, że wzbogaciła się o jeszcze jedną gwiazdę pierwszej wielkości.

Sam bohater uroczystości nie wystąpił z przemówieniem w związku z pasowaniem go na wielkiego Amerykanina. May nie był nawet obecny na tej ceremonii. Zresztą kongresmeni nie obrażali się na swego sławnego koleżę. Wiedzieli oni, że w przybyciu do parlamentu przeszkodziły mu „niezależne od niego okoliczności“, związane bezpośrednio z jego osławioną działalnością.

Chodzi o to, że „wielki Amerykanin“ już od roku prawie siedzi w więzieniu. Okazuje się, że jako przewodniczący komisji spraw wojskowych, May rozdał zamówienia wojskowe tym monopolom, od których otrzymywał łapówki. Tego rodzaju działalność jest rzeczą tak codzienną dla amerykańskich mężów stanu, że przez długi czas „operacje handlowe“ Maya nie napotykały na najmniejsze trudności. Jednakże, jak wyraził się na uroczystym posiedzeniu w dniu 15 sierpnia członek komisji spraw wojskowych republikanin Short, May „prawdopodobnie okazał się nieostrożny, i nie udało się już zatuszować sprawy“.

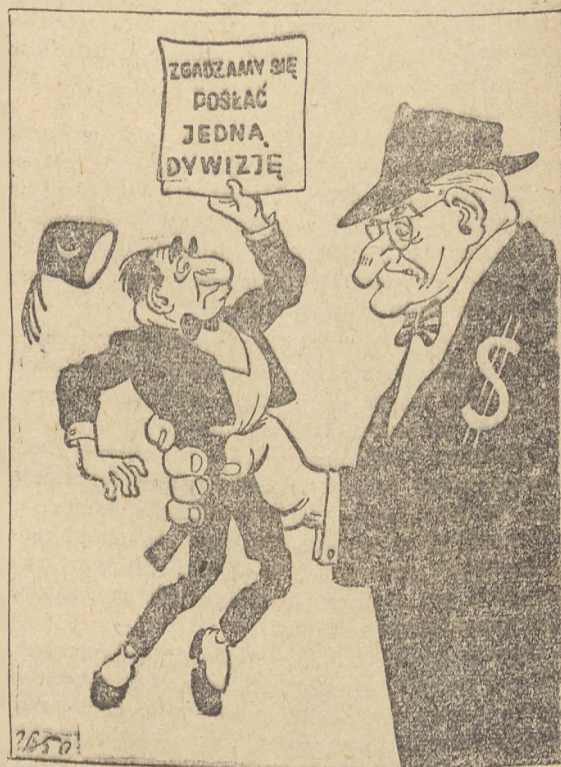
Wielkiego łapownika trzeba było oddać pod sąd. Został on skazany na 8 do 24 miesięcy więzienia. O tym „incydencie“, jak wykwintnie wyraził się Mac Cormack, mówili z ubolewaniem mówcy, którzy sławili Maya.

May odbył już minimalny termin kary; zostanie on wkrótce zwolniony i być może, wróci do Kapitolu, gdzie nastąpił teraz najgorętszy okres dla „wielkich Amerykanów“: niemal każdego dnia Kongres zatwierdza milionowe i miliardowe kredyty na produkcję bomb atomowych, lotniskowców i bombowców, na formowanie nowych pułków i dywizji. May siedzi narazie w więzieniu, ale jego współpracownicy nie śpią. Kosztem potu i krwi mas amerykańskich wypełniają się safety monopoli, pęcznieją portfele kongresmenów.

W POSZUKIWANIU NIEMIECKICH LANDSKNECHTÓW

AGENCJA Reutera donosi, że plany utworzenia armii złożonej z niemieckich landsknechtów wstąpiły w decydującą fazę. W kołach amerykańskiej Wysokiej Komisji nie ukrywa się, że w najbliższym czasie liczebność najemnych formacji wzrosnąć ma do 450.000 ludzi, co wyniesie około 30 dywizji. Podstawą dla rozbudowy tych dywizji mają być tzw. „brygady robocze“,

W Y D U S I L I ...



Rys. G. WALKA

Według najnowszych informacji senator amerykański Cain podczas swego niedawnego pobytu w Ankarze wręczył rządowi Turcji ultimatum z żądaniem wysłania wojsk tureckich do Korei. Cain groził, że w przeciwnym razie Stany Zjednoczone podejmą kroki, mające na celu polityczną i gospodarczą izolację Turcji.

(Z prasy).

istniejące już od blisko pięciu lat w angielskiej i amerykańskiej strefie okupacyjnej. W chwili obecnej formacje te sięgają w strefie angielskiej 107 tysięcy, a w amerykańskiej — 80 tysięcy ludzi.

Na łamach prasy w Niemczech Zachodnich można już znaleźć opisy niesłychanych scen, jakie rozgrywają się przy werbowaniu niemieckich najmitów. Większość urzędów pośrednictwa pracy przekształcono w punkty werbunkowe. Ludzi, którzy stracili nadzieję na uzyskanie pracy kieruje się z biur pośrednictwa pracy bezpośrednio do koszar wojsk okupacyjnych, przy czym pierw-

szeństwo mają ci którzy służyli w armii hitlerowskiej. W koszarach procedura jest w najwyższym stopniu uproszczona. Przybyłego poddaje się dla formy badaniu lekarskiemu, po czym klepie się go po ramieniu: zdolny do służby! Następnie żąda się od każdego, by podpisał, że „nie jest członkiem partii komunistycznej i nie należy do osób, które były prześladowane przez hitlerowców“. Sprzeciwiający się są bici i wyrzucani za drzwi; pozbawia się ich przy okazji prawa do otrzymania zasiłku dla bezrobotnych.

Równocześnie przegrupowuje się tzw. „policię przemysłową“ liczącą w strefie amerykańskiej 100 tysięcy ludzi. Młokosi ci odziani w czarne mundury, przypominające uniformy esesow-

ców, działali dawniej przy pomocy palek gumowych, bomb łzawiących, noży i kastetów. Obecnie uzbraja się ich w karabiny. Militaryzacja ta wywołuje smutne refleksje nawet w prasie burżuazyjnej.

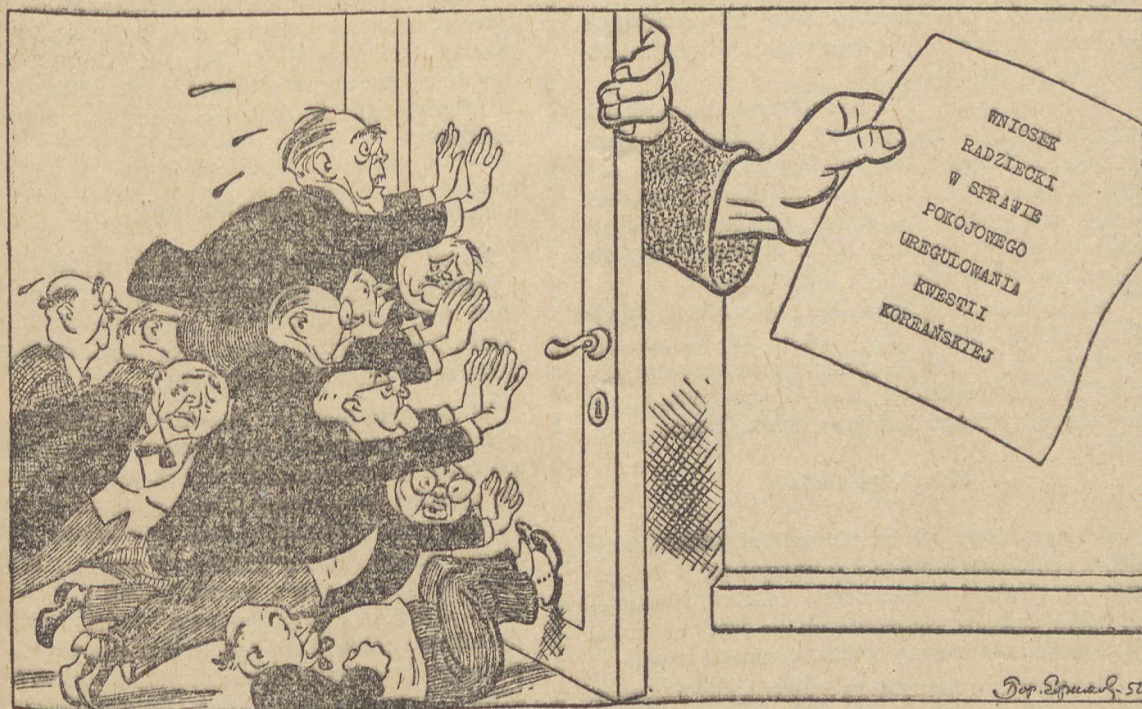
„Amerykanie będą uzbrajać w karabiny oddziały robotnicze w Niemczech Zachodnich — pisała niedawno „Frankfurter Allgemeine Zeitung“. Zaczyna się zawsze od karabinów, później idą karabiny maszynowe i nikt nie wie czym się to skończy“.

Cel tych posunięć jest zresztą dobrze wiadomy: imperialiści pragną przekształcić Niemcy Zachodnie w rezerwuar żywej siły dla swych awantur wojennych.

NA MARGINESIE SIERPNIOWYCH POSIEDZEŃ RADY BEZPIECZEŃSTWA

Amerykańscy przedstawiciele w Radzie Bezpieczeństwa przy pomocy swoich satelitów stosują taktykę obstrukcyjną, aby nie dopuścić do przyjęcia wniosku radzieckiego o pokojowym uregulowaniu kwestii koreańskiej, ponieważ koła rządzące Stanów Zjednoczonych nie chcą pokoju, lecz pragną wojny.

(Z prasy).



Rys. Bor. JEFIMOWA

W Vietnamie

NOTATKI
Z PODRÓŻY

Leo FIGUERES

dyrektor francuskiego dziennika „Avantgarde”

P O długotrwałej podróży ciężarówką przez południowe prowincje Chin dotarłem wreszcie do granicy Demokratycznej Republiki Vietnamu. Prawie na całej swej długości granica znajduje się pod kontrolą oddziałów demokratycznej armii Vietnamu. Wojska francuskie okupują w tym rejonie nie więcej niż 5 do 6 miast, odległych niekiedy o setki kilometrów od siebie. Garnizony tych punktów są izolowane: są one zaopatrywane tylko z powietrza, leżące dokoła tereny kontrolowane są przez vietnamskie oddziały wojskowe.

Na posterunkach granicznych powiewa narodowy sztandar Vietnamu: czerwone pole z wielką żółtą gwiazdą po środku. Na jednym z tych posterunków zobaczyliśmy po raz pierwszy napis, który potem widzieliśmy na każdym kroku: „*Demokratyczna Republika Vietnamu — Niepodległość — Wolność — Szczęście*”.

Następnie, przemierzając setki kilometrów, to piechotą to konno, w ciągu wielu dni posuwaliśmy się na południe.

Pierwsza rzecz, jaka nas uderzyła na terenach wyzwolonych — to porządek i spokój. Mogłem swobodnie i spokojnie podróżować o każdej porze dnia i nocy w dowolnym kierunku. Przeszkadzały nam jedynie od czasu do czasu naloty samolotów francuskich, które zmuszały nas do chowania się w zaroślach bambusowych.

Mimo woli przypominałem sobie obłudę władz francuskich, które zapewniają, że wojska do Vietnamu wysyłane są „w celu przywrócenia porządku”... Porządek panuje właśnie tam, gdzie nie ma ani jednego żołnierza kolonialnego.

Chłopi opowiadają

Zatrzymujemy się w niewielkiej wiosce, aby dać wytchnienie koniom i pokrzepić się w karczynie przydrożnej świetną zupą chińską. Kosztuje to kilka dongów vietnamskich — jest to nowa jednostka monetarna demokratycznego rządu.

Po śniadaniu korzystam z okazji, aby porozmawiać z chłopami, którzy skryli się w karczynie przed nieoczekiwanym deszczem.

— Czy ciężko wam? Głodujecie?

— Nie — odpowiedzieli mi... — Jedzenia oczywiście trzeba oszczędzać, ale pracujemy, uprawiamy ugory... Jeśli znajdzie potrzeba, będziemy pracować dzień i noc, ale głodu nie będzie.

Przejeżdżając przez wsie przekonaliśmy się jaką olbrzymią robotę wykonali chłopi z północnego Vietnamu. W tej części kraju, gdzie uboga gleba dawała tylko jeden zbiór ryżu rocznie, chłopi postanowili osiągnąć dwa zbiory, tak jak na urodzajnych ziemiach Delt. Jednocześnie karczkuje się lasy dziewicze i zwiększa się obszary zasiewów warzyw, kukurydzy i manioku. Wzdłuż drogi ciągną się wielkie ogrody warzywne.

Patriotyczny entuzjazm ludności wiejskiej jest wynikiem troski rządu demokratycznego o interesy chłopstwa. Grunta towarzystw kolonialnych, wielkich obszarników - kolaborantów, jak również ziemie porzucone, zostały podzielone pomiędzy najbiedniejszych chłopów. Czynniki dzierżawy za ziemię oraz procenty od pożyczek — w pieniądzu i w naturze — zostały znacznie obniżone.

„Brama nieuctwa”

Naród vietnamski z niezwykłą wytrwałością i pracowitością rozwiązuje w warunkach wojennych tak ważne problemy, jak podniesienie poziomu kulturalnego, likwidacja analfabetyzmu, stworzenie przemysłu rodzimego.

W pewnym małym miasteczku udałem się z kilkoma przyjaciółmi na rynek. Targ odbywa się tylko wieczorami, gdy można już nie obawiać się nalołów powietrznych. Mieści się on na skraju miasteczka. Prowadzą doń dwie bramy, jedna mała, druga duża z jakimś napisem. Wytlumaczono mi, że przez wielką bramę przechodzą tylko ci chłopi i te gospodynie, którzy umieją przeczytać napis. Tym zaś, którzy nie umieją go przeczytać, wolno przechodzić jedynie przez małą bramę. Brama ta nosi nazwę „Bramy nieuctwa”. Prowadzi ona nie wprost na rynek, lecz do dużej sali gdzie uczyć czytać i pisać.

Oto jeden ze sposobów agitacji za zlikwidowaniem analfabetyzmu.

Obszarnikom zaproponowano, aby uczyli oni czytać i pisać parobków. Jeśli nie załatwią oni tej sprawy, pozbawia się ich na kilka dni siły roboczej: „Kultura Ludowa” kieruje tych parobków na specjalne kursy na koszt obszarnika.

W wyniku wysiłków rządu w kraju, gdzie przed wojną 90% ludności nie umiało czytać i pisać, w niektórych prowincjach analfabetyzm został już całkowicie zlikwidowany.

Szkoły w lesie

Czy wiecie, że na wyzwolonych terenach Wietnamu istnieje uniwersytet posiadający wszystkie wydziały i że studentów na tym uniwersytecie jest więcej niż na uniwersytecie w Hanoi, gdzie rządzą okupanci francuscy?

Czy wiecie, że nie tylko każda wieś wietnamska ma swoją szkołę początkową, ale również każde miasto powiatowe ma szkołę średnią?

Odwiedziłem narodową szkołę sztuki i literatury, położoną w gąszczu leśnym, tak jak zresztą większość wszystkich zakładów naukowych.

Zapytacie: dlaczego w lesie? Po prostu ze względu na bezpieczeństwo, po to, aby szkoła nie stała się ofiarą desantu spadochronowego lub niespodziewanej napaści oddziałów zmotoryzowanych. W całym Wietnamie wyższe zakłady naukowe, ministerstwa, ośrodki kierownicze różnych organizacji rozsiane są po lasach, zabezpieczone są od ciosów wroga. Są również i miasta. Niektóre z tych miast, które odwiedziłem, liczą po kilka tysięcy mieszkańców. Lecz murowane budynki w tych miastach są zrujnowane i gruzы porosły już tropikalną zielenią. Właściciele tych domów, często ludzie zamożni, zburzyli je sami, aby w wypadku zdobycia miasta przez wojska francuskie nie mogły być one przekształcone w twierdze.

Byli mieszkańcy tych stosunkowo komfortowych domów zbudowali sobie skromne chaty z trzciny bambusowej, w których mieszkają. Taktyka „wypalanej ziemi” była niezbędna w pierwszym okresie wojny, aby kolonizatorzy nie mogli wykorzystać miast dla utworzenia ufortyfikowanych pozycji. Wietnamska armia nie miała w tym czasie broni ciężkiej i byłoby im trudno atakować takie pozycje.

Przemysł krajowy

Widziałem fabryki znajdujące się również w lesie.

Tak, w Wietnamie istnieją przedsiębiorstwa przemysłowe. Urządzenie ich zostało ewakuowane z miast, gdy w roku 1946 wojna ogarnęła cały kraj.

Widziałem drukarnie, widziałem fabryki papieru, których produkcja pokrywa zapotrzebowanie kraju. Widziałem przędzalnie, fabryki chemiczne. W niektórych przedsiębiorstwach pracuje ponad tysiąc robotników.

Najwspanialszy wydał mi się jednak przemysł zbrojeniowy, w którym pracują dziesiątki tysięcy robotników. Młodzi robotnicy — chłopcy i dziewczęta — wraz ze starymi wykwalifikowanymi robotnikami, którzy przybyli z okupowanych miast, produkują broń i amunicję dla wojska. Produkcją i zwiększają produkcję, mimo ciężkich warunków bytu, mimo zniszczenia maszyn, mimo braku transportu, mimo braku surowca.

Energia, wynalazczość, entuzjazm pracy wietnamskich inżynierów i robotników przezwyciężają te przeszkody. Fabryki w lesie produkują nie tylko amunicję, granaty, broń przeciwzołgową, lecz nawet różnego kalibru moździerze i haubice.

Prawda o siłach zbrojnych Wietnamu

Ludzie niedostatecznie poinformowani myślą, że oddziały wietnamskie są to słabo uzbrojone, źle wyekwipowane oddziały partyzanckie, zdolne do prowadzenia jedynie partyzanckich operacji.

Tak było rzeczywiście w pierwszym okresie, gdy prowokacje władz francuskich zmusiły rząd Wietnamu do wydania 19 grudnia 1946 roku rozkazu o stawianiu powszechnego oporu. Znaczna część wietnamskich sił zbrojnych składała się wówczas z „grup samoobrony”, to jest milicji ludowej. Ale od tego czasu sytuacja radykalnie się zmieniła.

I teraz naturalnie istnieje wiele oddziałów partyzanckich. Miałem okazję być na ich zjeździe krajowym, gdzie podsumowywano wyniki działań partyzancki w kraju. W miastach okupowanych, gdzie skupione są najsilniejsze oddziały wojsk kolonialnych, działalność partyzancki ma charakter codzienny, systematyczny i ma czasami szeroki zasięg. Tak na przykład na początku bieżącego roku partyzanci z Hanoi dostali

się na lotnisko w Bac - Mai i podłożyli bomby zegarowe, które następnie wybuchły niszcząc 30 samolotów transportowych typu „Junkers”. Samoloty te używane były przez dowództwo francuskie do zaopatrywania swych posterunków.

Teraz jednak istnieją nie tylko oddziały partyzanckie. Demokratyczna Republika Vietnamu posiada silną regularną armię.

Dowódca armii wietnamskiej udzielił mi zezwolenia na odwiedzenie pewnych jednostek wojskowych. Żołnierze wietnamscy mają mundury brązowe lub oliwkowe. Oficerowie noszą na głowie hełmy z korka, żołnierze — ze specjalnego rodzaju liści.

W oddziałach wojskowych przestrzegana jest surowa dyscyplina, aczkolwiek stosunki pomiędzy żołnierzami i dowódcami przepełnione są demokratyzmem. Istnieją wybieralne komitety żołnierskie, które troszczą się o potrzeby żołnierzy, o sprawy nauki i organizują zawody pomiędzy żołnierzami, mające na celu podwyższenie poziomu wyszkolenia bojowego.

Dystynkcja oficerska — to złota gwiazda na czerwonym tle. Kadry oficerskie są szkolone w szkołach wojennych. Gdyśmy odwiedzili jedną z takich szkół, szkołę piechoty, uczyło się tam kilkuset młodych ludzi. Niektórzy z nich ukończyli szkołę średnią, inni przyszli z fabryk lub rekrutują się spośród żołnierzy szeregowych. Termin nauki w szkole wynosi 6 do 8 miesięcy, po czym młodzi oficerowie przechodzą praktykę w jednostkach wojskowych.

Regularne wojsko jest uzbrojone w broń pochodzącą z trofeów wojennych, głównie japońską i francuską, jak również w broń produkowaną w fabrykach, o których mówiłem już wyżej. Wyjaśniono mi, że jakoś tej broni krajowej produkcji polepsza się, ilość zaś — zwiększa się.

Dwa lata temu armia posiadała tylko oddziały piechoty, obecnie ma artylerię, saperów i wojska łączności. Tworzy się duże jednostki: pułki, brygady i dywizje.

Bezpośrednią rezerwę armii regularnej stanowią tak zwane „oddziały okręgowe” — pułki terytorialne, tworzone w każdej prowincji. W wielu okręgach formacje te działają w skali miejscowej, odciążając w ten sposób oddziały wojsk regularnych.

Przyjął mnie dowódca naczelny narodowej armii Vietnamu generał Vo Nguen Ziap, jeden z wybitnych działaczy ruchu narodowo - wyzwol-

leńczego Vietnamu. Nie ma on jeszcze 50 lat. Jest to młodo wyglądający, krzepki mężczyzna, posiadający duże wykształcenie.

Vo Nguen Ziap był nauczycielem w Hanoi. Gdy Japończycy okupowali kraj uciekł on do górskiego okręgu północnego Vietnamu, gdzie organizował pierwsze grupy partyzanckie. Opowiedział mi, jak po 9 marca 1945 roku, gdy Japończycy rozbroili wojska francuskie — oddział jego walczył przez jakiś czas razem z batalionem francuskim; opowiedział mi również jak oficerowie tego batalionu wkrótce przedostali się do Chin...

W przeddzień kapitulacji Japonii większość miast Tonkinu była już wyzwolona przez oddziały Ziapa. Liczyły one w tym czasie kilka tysięcy żołnierzy.

Od roku 1946 generał stoi na czele sił zbrojnych republiki. Opowiedział mi on o warunkach wojny w Indochinach, wyjaśnił taktykę nieprzyjaciela.

Inicjatywa w ręku dowództwa wietnamskiego

Inicjatywa wojenna pozostaje w rękach dowództwa wietnamskiego. Wojska Ziapa często przechodzą do ofensywy, jak na przykład w Pholu i Donkhe, gdzie zdobyto ważne umocnione pozycje nieprzyjaciela. Główne pozycje Francuzów na północy są izolowane, są oni zaopatrywani z powietrza i położenie ich jest nader niepewne.

Tymczasem jeszcze wojska wietnamskie nie zawsze posiadają niezbędne środki, aby po zdobyciu umocnionych punktów nieprzyjacielskich utrzymać je. Lecz środki te stopniowo gromadzi się.

Wzięci do niewoli przez Vietnamiczyków oficerowie francuscy zazwyczaj wyrażają zdziwienie z powodu dyscypliny wojsk wietnamskich i ich liczebności. Większość tych oficerów z takim lekceważeniem odnosiła się do narodu wietnamskiego, że nie sądziła, aby był on zdolny do stworzenia dobrej armii.

Ludzie Vietnamu

Podczas mojej podróży spotykałem się z jednostkami z ludu i z wybitnymi przedstawicielami inteligencji, z dowódcami wojskowymi i z szeregowymi żołnierzami. Widziałem ministrów znacznie różniących się od siebie pod względem pochodzenia społecznego i poglądów, lecz złączonych wspólną wolą walki o niepodległość swego kraju. Wiceprezes rady ministrów komunisty Pham Van Dong pracuje razem z panem Pham Ke Toaj, ministrem spraw wewnętrznych, b. wi-

cekrólem Tonkinu w reżymie cesarskim. Minister spraw zagranicznych Hoang Min Giam, jest członkiem partii socjalistycznej Vietnamu. Minister gospodarki, to wybitny adwokat z Hanoi. Minister finansów Le Van Hien jest komunistą, zaś na czele ministerstwa weteranów i inwalidów wojennych stoi Vu Din Tung, który jest katolikiem, podobnie jak i wiceprzewodniczący Zgromadzenia Narodowego — ksiądz Pham Ba Truc.

Rząd Vietnamu — to blok demokratyczno-patriotyczny. Naród vietnamski uważa go za jedyny legalny i jedyny reprezentujący go rząd od czasu powstania antyjapońskiego z 19 sierpnia 1945 roku i proklamowania w dniu 2 września Demokratycznej Republiki Vietnamu. Rząd ten jest ucieleśnieniem jedności demokratycznej wszystkich warstw narodu vietnamskiego z nie liczną, lecz bohaterską klasą robotniczą na czele. Front narodowy w tym roku wzmocni się jeszcze bardziej, gdyż przygotowuje się połączenie dwóch wielkich organizacji narodowych Vietminu — Ligi Niepodległości Vietnamu, utworzonej w roku 1941 i Lien Viet — Narodowego Związku Vietnamiczków, założonego w roku 1946.

Na czele tego frontu stoi wódz Vietnamu i szef rządu Ho Shi Min, patriota, który od pięćdziesięciu niemal lat prowadzi walkę o niepodległość kraju.

Spotkanie z Ho Shi Minem

W czasie mego pobytu w tym kraju dwa spotkania wywarły na mnie najsilniejsze wrażenie: spotkanie z generałem Ziapem i z Ho Shi Minem.

Miałem możliwość spotkać się osobiście z Ho Shi Minem, o którym prasa burżuazyjna przez cały czas rozpowszechnia kłamliwe wiadomości, że jest chory lub, że nie piastuje już stanowiska prezesa rady ministrów, lub też, że „znikł”.

Widziałem go: jest zupełnie zdrow. Odwiedziłem go w jego rezydencji, również znajdującej się w leśnym gąszczu. Widziałem jak kocha go naród. Vietnamicy nazywają Ho Shi Mina „Wujem Ho” i bardzo dbają o niego.

Widziałem domek wiejski, w którym mieszka, jego biuro, jego ogród warzywny, gdyż kierownik rządu daje innym przykład również i w tym względzie.

Ho Shi Min prosił mnie, abym mu opowiedział szczegółowo o sytuacji we Francji, o stosunku naszego narodu do wojny w Indochinach. Zadał

mi także masę pytań dotyczących wystąpień mas pracujących w innych krajach, życia w krajach demokracji ludowej, osiągnięć Związku Radzieckiego.

Gdy ja z kolei spytałem go, jaki jest jego stosunek do uznania jego rządu przez Związek Radziecki i Chiny Ludowe, odpowiedział mi:

— Pełen entuzjazmu i wdzięczności.

Następnie wspomniałem o interwencji amerykańskiej. Ho Shi Min powiedział:

— Interwencja Amerykanów do spraw Vietnamu? Skończy się ona równie żałośnie, jak interwencja amerykańska w Chinach.

Następnie oświadczył:

— Myśmy tej wojny nie chcieli. I tutaj i podczas mego pobytu we Francji zrobiliśmy wszystko, aby jej uniknąć. Na naszą cierpliwość, na nasze pragnienie pokojowego rozwiązania, kolonizatorzy odpowiadali nieustannymi prowokacjami. W chwili obecnej mamy zamiar prowadzić do końca, do zwycięstwa narzuconą nam wojnę. Polój? — Może zapanować w ciągu jednego dnia. Wystarczy tylko, aby wojska kolonialne wyniosły się precz.

Żegnając się ze mną Ho Shi Min podkreślił, że naród vietnamski nie utożsamia bynajmniej narodu francuskiego ze zbrodniczą kliką imperalistów.

Przyjęcie jakiego doznałem ze strony Vietnamiczków ja, Francuz o postępowych poglądach, wskazuje, że idea internacjonalizmu głęboko przeniknęła do mas narodu vietnamskiego.

„*Nasza sprawiedliwa wojna wyzwolenicza jest częścią składową walki narodów o utrzymanie pokoju*” — przeczytałem na zakręcie jakiejś drogi, na jednym z plakatów splecionych z bambusu, które spotkać można w tym kraju na każdym kroku.

Widziałem jak na zjeździe Związku Kobiet Vietnamskich witane były delegatki, które wróciły z konferencji kobiet Azji. Widziałem na wystawie obok portretów kierowniczek ruchu kobiecego Związku Radzieckiego i Chin, portrety francuskich działaczek demokratycznych oraz dokumenty o wystąpieniach kobiet francuskich przeciwko wojnie w Vietnamie. Atmosferę proletariackiego internacjonalizmu odczuwałem również przy spotkaniach z kierownikami vietnamskich związków zawodowych, związku młodzieży, ligi chłopów i wielu innych organizacji społecznych Vietnamu. Obserwowałem podziw wobec sukcesów narodu chińskiego, przejawy solidar-

ności z masami pracującymi Francji, przejawy miłości do Związku Radzieckiego. Widziałem pogardę dla zdrajców ruchu demokratycznego, dla sabotażystów walki wyzwolenczej narodów.

Naród wietnamski zlikwidował u siebie hitlerowców i trockistów, którzy w okresie przedwojennym wyrządzili wiele złego sprawie narodów Indochin i uważa za jednego ze swych największych wrogów klikę Tito. Klika ta ośmieliła się „uznać” demokratyczny rząd Vietnamu, mając nadzieję, że przy pomocy tego manewru uda jej się zagmatwać sytuację. Oto jak odpowiedziało na pytanie czytelnika w tej sprawie pismo wietnamskie „Su Fat” w numerze z 1 kwietnia 1950 roku:

„Nie życzymy sobie nawiązywać jakichkolwiek stosunków z Tito — my mamy rząd demokratyczny. Walczymy w szeregach światowego ruchu w obronie pokoju i demokracji, na czele którego stoi Związek Radziecki. Klika Tito zdradziła Związek Radziecki i kraje demokracji ludowej. Tito i jego banda to lokaje imperialistów amerykańskich. Zdemaskowali się oni sami jako fałszyści, którzy gnębią i eksploatują proletariat i cały naród Jugosławii. Nie będziemy utrzymywać żadnych stosunków z tymi ludźmi“.

Prasa gra wielką rolę w rozpowszechnianiu idei postępowych.

Czasopismo „Su That” — jest wydawane przez stowarzyszenie rozpowszechniania marksizmu. Wychodzi ono trzy razy na miesiąc w nakła-

dzie 15 tysięcy egzemplarzy. Na czele tego czasopisma stoi wybitny działacz ruchu narodowo - wyzwolenczego Troung Chin, jeden z założycieli komunistycznej partii Indochin, który zajmuje obecnie stanowisko przewodniczącego wspomnianego stowarzyszenia. Organ Vietminu dziennik „Cuu Quoc” („Ocalenie Narodowe”) wydał kilka specjalnych numerów poświęconych Związkowi Radzieckiemu, Nowym Chinom, krajom demokracji ludowej.

Mimo całkiem zrozumiałych trudności, mnóstwo szkół i kursów zajmuje się rozpowszechnianiem idei marksizmu - leninizmu. Udało mi się zwiedzić jedną z największych szkół tego typu, która nosi imię Ho Shi Mina i liczy ponad 600 słuchaczy ze wszystkich okręgów kraju.

W Vietnamie są publikowane i rozpowszechniane podstawowe dzieła Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, jak również literatura dotycząca walki narodu chińskiego.

Naród wietnamski zdaje sobie sprawę z tego, że jego walka stanowi część ogólnej walki narodów o pokój, przeciwko imperializmowi i jego slugusom.

Vietnamczycy wiedzą, że popiera ich obóz pokoju i demokracji na całym świecie, że jest z nimi również naród Francji, walczący przeciw wojnie w Indochinach, którą nazywa on „brudną wojną”.

Paryż.

Sierpień 1950 roku.

PRYMITYWNY CHWYT

Amerykańskie agencje telegraficzne szerzą pogłoskę, jakoby prezydent Truman postanowił mianować Murzynkę Edith Simpson członkiem delegacji Stanów Zjednoczonych na zbliżającą się sesję Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. Agencje nie ukrywają przytem, że nominacja ta będzie podyktowana nie względami merytorycznymi, lecz celami propagandowymi. Ma to obalić twierdzenie, że Murzyni są narodem uciskanym i są pozbawieni jakichkolwiek wpływów lub możliwości zajmowania poważniejszych stanowisk w Stanach Zjednoczonych“.

Tak więc Truman spodziewa się uszczęśliwić jedną Murzynkę zaprzeczając faktowi, że w Stanach Zjednoczonych istnieją sądy Lyncha i ukryć przed opinią publiczną ciężką dolę wielu milionów Murzynów, będących ofiarami haniebnej dyskryminacji rasowej. Cóż za prymitywny chwyt!

W Constanzy

NOTATKI
KORRESPONDENTA

W. KURTOW

FALE morskie omywają z trzech stron mury miasta Costanza. Miasto to powstało w pustynnym stepie Dobrudży i wbiło się klinem w głąb morza, tworząc wąski, spadzisty cypel. Nadało mu to charakterystyczny wygląd: wydaje się, że budynki spieszą na wyścigi na spotkanie falom morskim. Domy biegną od równiny ku skalistym wybrzeżom, szerokie ulice obramowane są cienistymi południowymi ogrodami. Zbliżając się do cypla, wspinają się nań gęstymi szeregami wąskich, krętych uliczek. Ciasno tu. Z jednej strony z szumem i hukiem biją ołowiane fale, z drugiej zaś poskromione tamami nabrzeżnymi morze z lekkim pluskiem uderza o brzegi. Na stromy występ, z którego widnieje bezkresna dal wody i nieba, wspięto się około dziesięciu maszynowych i pięknie wykończonych domów.

Tak wygląda Constanza. Jednakże wąskie uliczki jej nadmorskiej dzielnicy handlowej nie są ani spuścizną minionych stuleci, ani też naśladownictwem średniowiecza. Zrodziła je wąskość cypla. Constanza — miasto, które stanęło nad morzem i morzem żyje, rozwinęło się i nabrało charakterystycznego wyglądu dopiero w ciągu ostatnich pięciu czy sześciu dziesięcioleci. Wyrósł ono w miejscu, gdzie znajdowała się osada rybacka już po wyzwoleniu tych ziem przez wojska rosyjskie w czasie wojny tureckiej 1877 roku.

Stare księgi i eksponaty Muzeum Miejskiego mówią wprawdzie o tym, że niegdyś rozpościęrało się na tych brzegach legendarne miasto Tomis, gdzie zmarł na wygnaniu Owidiusz. Dyrektor muzeum — stary profesor potrafi nawet określić dzień, kiedy zamilkła lira pieśniarza. Wskazuje on nawet na resztki muru, wzniesionego około 2 tysięcy lat temu przez niewolników na rozkaz cesarza rzymskiego Trajana.

Ale ślad muru Trajana, pomnik Owidiusza, stojącego w zadumie na głównym placu, jak również papierosy „Tomis“, sprzedawane w kioskach „Debit tutun“ — to chyba wszystko, co przypomina czasy antyczne. W okresie imperializmu rola tego miasta nie była godna zdrości: kapitał zagraniczny wykorzystywał ten pierwszorzędnny port dla swoich celów — dla grabienia kraju. Błękitnymi szlakami morskimi, które brały tu początek, płynęły karawany handlowe z „rumuńskiej kolonii“ do wybrzeży światowych rynków.

Jest rzeczą charakterystyczną, że ten rumuński port nazywano wówczas częstokroć portem międzynarodowym. Miało to szczególne znaczenie. Do trzydziestu dwóch przystani w porcie Constanzy zawijały okręty rozmaitych państw i znacznie więcej było flag zagranicznych niż rumuńskich. Nie o to jednak chodzi, że w Constanzy słychać było wiele języków i że w dwustu jej restauracjach, knajpach i barach, w luksusowym kasynie i ponurych spelunkach portowych starano się przede wszystkim schlebiać gustom cudzoziemców. Constanza nie była portem rumuńskim i faktycznie panował tu niepodzielnie kapitał zagraniczny.

Jeżeli nie liczyć lokali rozrywkowych, utrzymywanych przez miejscowych kupców niezbyt wysokiego autoramentu, całe życie gospodarcze pozostawało w obcych rękach. Sześć rafinerii nafty oczyszczało ropę, napływającą rurami z doliny Prahova dla firm amerykańskich, angielsko-holenderskich, niemieckich i francuskich. W przystaniach przetaczano jednocześnie naftę na 2—4 statki-cysterny należące do tych towarzystw albo przez nie zafrachtowane. Doskonały, wyposażony w ostatnie zdobycze techniki elewator na 80 tysięcy ton zbudowany został w porcie po to, aby przyływały tam zagraniczne okręty po rumuńską pszenicę. Kupowano ją za bezcen dla karmienia krów holenderskich i świń yorkshirskich, podczas gdy chłopci rumuńscy musieli się zadawałać kukurydzą... To co się działo w Constanzy było ostatnim aktem haniebnego grabienia rumuńskich bogactw narodowych.

Wysokogatunkowe drzewo bukowe i grabowe z Karpat, bogactwa mineralne, tania produkcja koncesjonowanych fabryk Résity i Hunedoary, cement Braszowa i Czernawody, bydło, wełna, sól, a przede wszystkim nafta — wszystko to odpływało z Constanzy pod flagami obcych państw. „Międzynarodowe“ miasto było jaskrawym przykładem sprzedajności rządów królewskiej Rumunii z tak zwanych „partii historycznych“. Handlowali oni losami narodu i dwukrotnie w ciągu ćwierćwiecza uczynili z Rumunii bazę dla międzynarodowych rozbójników, którzy napadali na Związek Radziecki.

Sześć lat temu wylądowali na tym wybrzeżu radzieccy marynarze i żołnierze. Dzień wyzwolenia Constanzy stał się dniem jej nowych narodzin.

Na urwistym brzegu, gdzie miasto jak gdyby stanęło nagle jak wryte na widok żywiołu morskigo, wznosi się obelisk z czarnego marmuru. Na szczycie jego widnieje flaga morską Związku Radzieckiego, u podnóża — kotwica, symbol morza, oraz żywe kwiaty — dań wdzięczności dla wyzwolicieli. Jest to pomnik „Bohaterów, radzieckich marynarzy floty czarnomorskiej, którzy polegali w walkach z najeźdźcami faszystowskimi w czasie Wielkiej Wojny Narodowej w latach 1941 — 1945“.

Pomnik ten — to świątynia nowej Constanzy.

* * *

Stary mieszkaniec Constanzy Nicolae Rusu zaofiarował się zapoznać nas z życiem miasta. Z racji swego stanowiska jako wiceprezes miejscowego oddziału ARLUS (towarzystwa pogłębiania przyjaźni ze Związkiem Radzieckim) — a prawdopodobnie bardziej jeszcze z własnej woli, Rusu często zaznajamia przyjezdnych z godnymi obejrzenia obiektami tego ośrodka rumuńskiego nad Morzem Czarnym.

Rusu nie ma potrzeby posługiwania się przewodnikami i informatorami. Życie jego bogate jest w wydarzenia, a żywa jego pamięć dokładniejsza od niejednej książki. Mocny, krępy, nieco przygarbiony jak większość tragarzy, przeniósł na okręty wiele ton ładunku w ciągu 44 lat pracy w tym porcie. Placy a szczególnie ręce Rusu mówią o sile tego człowieka; jest tak ruchliwy i niezamordowany w czasie oprowadzania po mieście, że trudno uwierzyć, iż naszemu przewodnikowi minął już szósty krzyżyk...

Nicolae Rusu to poeta. Zbiorek jego wierszy „Wyzwolenie“, wydany przez miejscowe wydawnictwo, był oddzwiekiem wydarzeń ostatnich lat. Ten robotnik-samouk, który nauczył się czytać i pisać jako więzień polityczny, pisze również niewielkie sztuki teatralne. Grają je w świetlicach robotniczych. Słowem — to czarujący rozmówca i niezastąpiony przewodnik.

— Co nowego w Constanzy? — Rusu powtarza nasze pytanie. Wszystko jest nowe. Spójrzcie — Rusu zgiął haczykowate palce w ciężki i moony kulak. Niegdyś musiałem tymi pięściami bić się o pracę. Tak, tak, bić się tak jak biją się na ringu, a nie tylko kłócić się z przywódcami związków zawodowych. Wszak wszyscy oni byli na utrzymaniu towarzystw i biur ekspedycyjnych: „Marca Neagra“, „Intercontinental“, „Leon Andrean“, „Salari“ i różnych innych... Gdy pojawiał się okręt u brzegu, rzucaliśmy się do portu, każdy chciał pierwszy

dobiec do mostku okrętowego. Ormianie, Grecy, Turcy, Bułgarzy i my Rumuni. Rozpoczynala się bójka między poszczególnymi związkami. Robotnicy portowi łączyli się w grupy narodowe nie rozumiejąc, że siła nasza leży w jedności, a nie w nienawiści wzajemnej. Ten nosił worki, kto lepiej umiał młócić piętami. Maszyn było nie wiele, nie lubiliśmy ich, a i dla właścicieli okrętów były one niewygodne. Siła robocza była pięciokrotnie tańsza...

Starzec zamilkł, utkwivszy w dal morską spojrzenie nieco smutnych, otoczonych zmarszczkami, ale żywych jeszcze oczu. Następnie dodał:

— Takie było nasze szczęście. Nie martwili nas sińce, byle by dostać się pod pokład okrętu. Komu nie udało się, ten dalej siedział na brzegu i patrzył w morze, czekając aż zbliży się nowy okręt...

Z północo - wschodu, przeciąwszy linię horyzontu, jakiś statek płynął w kierunku Constanzy.

— Widzicie jak ściela się droga — starzec wskazał na błyszczący w promieniach słońca ślad zbliżającego się okrętu. Okręt towarowy płynął ku wybrzeżom Rumunii ze Związku Radzieckiego; od turkusowego nieba odcinał się jaskrawo czerwony kolor jego flagi. — Od czasu gdy istnieje ta świetlana droga — drogą tą idzie ku nam szczęście!

Rusu zapalił papierosa „Carpaci“ i powoli wyjął z szerokiej kieszeni kurtki starannie złożoną gazetę.

— Jeżeli czytacie po rumuńsku, to spójrzcie: Ciągłe powtarza się jedno słowo: „poszukuje się!“ Wskazał palcem na stronę ogłoszeń. — Poszukuje się mechaników, poszukuje się techników, poszukuje się robotników budowlanych, poszukuje się robotników do prac ziemnych. Poszukuje się marynarzy... Poszukuje się, poszukuje się — powtórzył Rusu i poklepał się po bokach. Rozumiecie, jest praca, dużo pracy — wszędzie! A to jest sprawa najistotniejsza, rzecz najnowsza w Constanzy, w całej Rumunii. Budujemy nowy dom — socjalizm i dla wszystkich, którzy chcą w tym domu żyć wystarczy pracy i chleba...

Rusu otrzymuje emeryturę. Starość jego jest zabezpieczona, nie może on jednak siedzieć z założonymi rękoma. Pracuje w ARLUSIE, pracuje w Rumuńskiej Partii Robotniczej, w młodzieżowych kółkach świetlicowych, w Związku Zawodowym Robotników Portowych...

Opowiadał nam jak zmieniło się położenie tragarzy... Biura ekspedycyjne zostały zlikwidowane. Specjalny dekret, wydany przeszło rok te-

mu gwarantuje tragarzom stały zarobek, płaci się za okres choroby.

— To niesłychane osiągnięcie, o jakim nie mogliśmy nawet marzyć! — wykrzykuje Rusu.

Nie ma teraz potrzeby kłócić się na przystani o to, kto ma wyladowywać okręt. Ludzie różnych narodów znaleźli wspólny język. Wdzięczni państwu za jego troskliwość, robotnicy portowi zaoszczędzają przy samych tylko pracach nad obrobką cementu dziesiątki milionów lei miesięcznie. Tragarze polubili także i maszyny, a gdy ze Związku Radzieckiego przybyły transportery, było to dla Constanzy prawdziwe święto...

Ale największe święto, o którym szczególnie warto opowiedzieć miało miejsce rok temu. W gazetach pojawiły się ogłoszenia, że wszyscy bezrobotni marynarze (wówczas jeszcze byli bezrobotni w Constanzy) mają się zarejestrować w zarządzie portu. Wielu ludzi powątpiewało: a na czym będziemy pływać — nie ma przecież okrętów...

— I oto w taki jak dziś pogodny dzień — mówi dalej Rusu mrużąc oczy od słońca — wszyscy mieszkańcy miasta wyszli na brzeg. Do portu przybliżały się okręty radzieckie o wielkim tonażu.

Na pokład radzieckich okrętów weszli rumuńscy marynarze, szturmani i kapitanowie. Orkiestry zagrały hymn Związku Radzieckiego i hymn Rumuńskiej Republiki Ludowej. Następnie, kołysząc się na wietrze powoli wzniosły się na maszty flagi narodowe Rumunii...

Przekazanie okrętów radzieckich Republice Rumuńskiej było wkładem kraju radzieckiego do Mieszanego Radziecko - Rumuńskiego Towarzystwa Transportowego.

— W ten sposób zniknęli u nas ostatni bezrobotni — zakończył opowiadanie Rusu. — Codziennie odczuwamy pomoc Związku Radzieckiego, pomoc towarzysza Stalina. Przychodzi ona stamtąd — przewodnik nasz wyciągnął rękę w kierunku morza.

Widać już było wyraźnie zarysy radzieckiego okrętu towarowego, który zbliżał się do portu. Na błękitie morza ścieliła się za nim, jak i poprzednio, srebrzysta smuga słoneczna.

* * *

Wznosząc się na urwisty cypel jadą od morza obciążone ciężarówkami z przyczepami; jadą wąskimi uliczkami nadmorskimi, gdzie w gwarze miejskim usłyszeć można jednak szum przypływu morskiego; jadą po tonących w zieleni szerekich alejach śródmieścia. Wiozą one maszyny

i narzędzia zakupione w Związku Radzieckim. Ciężarówkami z przyczepami mijają Constanzę i wjeżdżają na rozległe stepy Dobruży.

W stepach wre gorączkowa praca. Tysiące ludzi buduje kanał Dunaj — Morze Czarne, największy obiekt przyszłego planu pięcioletniego Rumunii. Szoferzy śpieszą, by dostarczyć ładunek do Poarta Alba, do doliny Kara Su, na brzegi jezior Sid Ghiol i Tasaul — na trasę budującego się kanału.

Constanza — to jeden z głównych ośrodków tego niespotykanego dotąd w Rumunii budownictwa. Tu znajdują się sztaby budowlane, biura projektów, instytucje naukowo-badawcze. W mieście, gdzie kilka lat temu były zaledwie dwie szkoły średnie, obecnie kształcą się w instytucjach specjaliści gospodarki rybnej, hydrotechniki, a w szkołach zawodowych średnich i wieczorowych szkołach się nowe kadry wykwalifikowanych robotników.

Kanał znacznie skróci drogę dla transportu towarów płynących Dunajem do Morza Czarnego. A w miejscu, gdzie kanał zbliży się do niskiego, pokrytego piaszczystymi wydmiami brzegu, powstanie nowy port morski.

Echo wybuchów słychać aż na krańcach Constanzy — to wysadza się w powietrze granit dla budowy wielokilometrowego moła w przyszłym porcie. Moło jest już wysunięte daleko w głąb morza i w ładną pogodę widać je dobrze z brzegu.

Nowy port będzie znacznie potężniejszy od portu w Constanzy. Ale perspektywa przyszłej „konkurencji” nikogo nie martwi: „w nowym domu znajdzie się praca dla wszystkich”. Wymiana towarowa i stosunki handlowe Rumunii z innymi krajami rozwijają się z dnia na dzień, port w Constanzy staje się ciasny.

Z wiarą w przyszłość pracują marynarze, tragarze, robotnicy okrętowi. Wre praca w pływającym doku, na hellingach, w oddziałach stoczni, przy dźwigach portowych, przy elewatorze, na przystaniach, do których przybijają po naftę statki-cysterny...

Uczymy się od radzieckich robotników stoczniowych — opowiadają robotnicy Ciuceanu i Jon Ponta. Wypalają oni teraz nity przy pomocy elektrod, a nie przy pomocy acetylenu. Zwiększyło to wydajność pracy cztero — a nawet sześciokrotnie.

— Idąc za przykładem spawaczy radzieckich produkujemy bez braków — mówią spawacze Gornet Dobre, Ion Iorda i Eftimie Dragomir.

Posiadają oni swego rodzaju „markę stachanowców” i zarząd portowy dał im prawo produkowania bez kontroli najbardziej skomplikowanych detali.

Poznając nas ze stachanowcami, Nicolae Rusu mówi z dumą:

— Takich ludzi dawniej nie było. To także jest u nas nowe.

...Jak dawniej roją się u brzegów Constanzy okręty różnych państw. Ale różnorodność flag nie daje nikomu podstaw do nazwania Constanzy portem „międzynarodowym”. Dzisiaj miasto to, które wybiegło ze stepów ku morzu, jest miastem wyłącznie rumuńskim. Nowa Constanza utrzymuje korzystne dla obu stron stosunki handlowe ze wszystkimi tymi, którzy szanują niepodległość i suwerenność Rumunii.

PRZECIW FAŁSZYWEJ INFORMACJI I OSZCZERSTWOM

Kameleon

OKOŁO ośmiu lat przebywał Edmund Stevens w Związku Radzieckim. Był on korespondentem bostońskiego dziennika „Christian Science Monitor”. W Moskwie Stevens podawał się za przyjaciela narodu radzieckiego i wśród swych kolegów, w gronie korespondentów zagranicznych, słynął jako radykał. Zaopatrywał on swoją gazetę w stosunkowo bardziej zgodne z prawdą informacje o kraju radzieckim i życiu ludzi radzieckich niż inni korespondenci.

Omawiając politykę zagraniczną rządu radzieckiego, Stevens starał się unikać powtarzania wyświechtanych oszczerstw. Donosił on swoim czytelnikom: „Plany Związku Radzieckiego nie zagrażają innym krajom”, „Związek Radziecki dąży do współpracy międzynarodowej”, „Oświadczenia o tym, że przemówienia przywódców radzieckich zawierają groźby pod adresem jakiegokolwiek kraju, są bezpodstawne”. Stevens pisał w marcu 1946 roku, że sklepy moskiewskie pełne są najróżnorodniejszych artykułów żywnościowych, że ceny już wówczas znacznie spadły, że rząd radziecki nadal realizuje swój program obniżki cen itd.

„Perspektywy stopniowego i nieustannego podnoszenia stopy życiowej — twierdził Stevens — są niemal bezgraniczne. Mimo zniszczeń wojennych, naród Związku Radzieckiego nie poddał się zmęczeniu, nie upadł na duchu i spogląda w przyszłość z największym optymizmem”.

Stevens podpisał oświadczenie, potępiające brudną, pełną oszczerstw antyradzieckich książkę White’a „O Rosjanach”. Oświadczenie to charakteryzuje książkę White’a jako paszkwil

„wprowadzający w błąd i obliczony na to, aby utrzymać stare mity i przesady w stosunku do na-

szego wielkiego sojusznika, którego ofiary w tej wojnie uchroniły nas od olbrzymiego przelewu krwi i od zniszczeń”.

Stevens pisał, że książka White’a jest najpodlejszą ze wszystkich książek, napisanych w ostatnim czasie przez Amerykanów, którzy przebywali w Związku Radzieckim.

W marcu 1945 roku Stevens wydał książkę „Rosja nie jest zagadką”. Domagał się on wzmocnienia przyjaznych stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, wyrażając życzenie, aby „Rosjanie i Amerykanie lepiej poznali się wzajemnie”, wzywał do „nawiązania ściślejszej współpracy intelektualnej między dwoma narodami”.

Od tego czasu minęło pięć lat. Bohaterską pracą i wysiłkiem naród radziecki odbudował zniszczoną przez wojnę gospodarkę i rozwinął ją jeszcze bardziej. W wyniku kilkakrotnej obniżki cen i wielu innych posunięć stopa życiowa radzieckich mas pracujących osiągnęła wysoki poziom i nadal podnosi się. Rząd radziecki nadal prowadzi wyraźną i konsekwentną politykę pokoju i przyjaznej współpracy między narodami. Naród radziecki stanął na czele potężnego ruchu setek milionów ludzi, broniących pokoju na całym świecie.

Ale właśnie dlatego zmieniła się atmosfera w redakcjach gazet, wysługujących się monopolom. Szpalty tych gazet są teraz do dyspozycji tych, którzy kłamią i obrzucają oszczerstwami Związek Radziecki. Prawda o kraju radzieckim nie cieszy się tam popytem.

W związku z powyższym, również i Stevens z obiektywnego i przyjaznego korespondenta przeobraził się w zawziętego i złośliwego osz-

czerec antyradzieckiego. Począwszy od 19 czerwca 1950 roku Stevens opublikował w centralnym organie angielskiej Labour Party, gazecie „Daily Herald”, sześć artykułów o Związku Radzieckim. Artykuły te są pełne głupich oszczerstw najniższego gatunku na radziecką rzeczywistość i ludzi radzieckich. Pierwszy artykuł zawiera niesłychane kłamstwa o polityce Związku Radzieckiego wobec krajów Bliskiego Wschodu. W drugim artykule Stevens dokonuje rewelacyjnego odkrycia: w społeczeństwie radzieckim istnieją „uciskani” chłopci. Jedzą oni rzekomo tylko kartofle i czarny chleb i nie kupują artykułów przemysłowych ze względu na ich wysokie ceny. Jako dowód rzeczowy wprowadza on fikcyjną postać podmoskiewskiej mleczarki „cioci Daszy”.

W trzecim artykule Stevens zapewnia, że większość ludzi radzieckich w wieku powyżej 25

lat znajduje się rzekomo „w stanie apatii”. Gdzie podział się „największy optymizm” ludzi radzieckich, o którym pisał Stevens w 1946 roku — wiadomo tylko jemu jednemu. W artykule czwartym i piątym obrzuca on oszczerstwami radzieckich działaczy sztuki, partię komunistyczną, radzieckie związki zawodowe...

Tak więc korespondent gazety „Christian Science Monitor” dokonał zwrotu o 180 stopni. W jednym tylko Stevens pozostał sobą: w dążeniu do wyprzedzenia swych kolegów po fachu. I, jak widzimy, udaje mu się to. Te jego artykuły w „Daily Herald”, wyrażając się słowami dawnego Stevensa, można z pełnym uzasadnieniem nazwać najpodlejszymi ze wszystkich artykułów, napisanych ostatnio przez Amerykanów, którzy przebywali w Związku Radzieckim.

N. SZMIELOW

KRYTYKA I BIBLIOGRAFIA

Wrażenia polskiego pisarza z podróży po Włoszech

M. ŻIWOW

AUTOR pominął celowo wszelkie opisy sławnych zabytków kultury rzymskiej i włoskiej — wychodząc z założenia, że rzeczy te były już wielokrotnie przedstawione w piśmiennictwie polskim — w sposób trudny do przewyższenia”. Tymi słowami pisarz polski Marian Brandys rozpoczyna swą książkę „Spotkania włoskie”, która ukazała się w druku w grudniu 1949 roku.

W przedmowie Brandys zaznacza, że cały materiał zebrany w tej książce zaczerpnięty został z własnych jego obserwacji i rozmów z ludźmi podczas pięciomiesięcznej wędrówki po Włoszech. Fakt ten decyduje zarówno o zaletach jak i o wadach tej książki. Pisarz nie dał wszechstronnego i wyczerpującego obrazu dzisiejszych Włoch, tymbardziej, że wstępując w ślady burżuazyjnego reportażu zachwycał się niekiedy „egzotyką” nocnego baru lub nieistotnymi szczegółami z życia codziennego rodziny S., w której gołami zamieszkała w Rzymie. Ale jednocześnie opowieść jego pociąga swą bezpośredniością.

Marian Brandys. Spotkania włoskie. Warszawa. 1949.

Z politycznego punktu widzenia interesujące jest niewątpliwie trafnie podchwyczone przez pisarza zjawisko niezadowolenia z istniejącego ustroju nie tylko wśród mas pracujących ale i w kręgach burżuazji. Wielu przedstawicieli burżuazji przemysłowej i handlowej, przedstawicieli inteligencji zajmujący najrozmaitsze stanowiska polityczne, mówią z troską o ciężkim położeniu „nieszczęśnych Włoch”. Główne oskarżenie skierowane jest pod adresem Amerykanów, pod naciskiem których rząd de Gasperiego prowadzi kraj ku katastrofie.

„Na Via Vittorio Veneto bije serce dzisiejszego Rzymu. Nad całą Via Vittorio Veneto dominuje wielki pałac ambasady amerykańskiej w Rzymie. Wszystko też co znajduje się w okolicy tej ulicy — a więc zarówno gmachy jak i ludzie — pozostaje na usługach ambasady amerykańskiej. Gmachy Via Vittorio Veneto to: kompleks biur i urzędów ambasadzkich, olbrzymie luksusowe hotele, międzynarodowe biura podróży, kluby amerykańskie i wspaniałe kawiarnie. Ludzie Vittorio Veneto to: urzędnicy instytucji amerykańskich, bogaci turyści amerykańscy, agenci wywiadu,

„gwiazdy“ filmowe z Hoolywoodu, międzynarodowi szpiedzy i aferzyści oraz kosmopolityczna horda wszelkich emigracji. Na Via Vittorio Veneto słyszy się niemal wyłącznie język angielski“.

Ambasadora amerykańskiego Jamesa Dunna nazywa autor „absolutnym władcą Via Vittorio Veneto“, przy czym z dalszej treści wynika, że władza jego rozciąga się na całe Włochy.

„Mr. James Dunn — pisze Brandys — to przystojny elegancki mężczyzna około pięćdziesiątki o surowych rysach twarzy, z którymi nieco się kłóci uprzejmy uśmiech bardzo szczególny w swym wyrazie. Widziałem ten uśmiech ambasadorski na inauguracyjnym przedstawieniu opery rzymskiej, gdy Mr. Dunn w swej łóży rozmawiał ze składającymi mu wizyty arystokratami i przemysłowcami włoskimi, których głośne nazwiska wymieniał z nabożeństwem siedzący obok mnie rzymski adwokat. W łaskawej pobłażliwości uśmiechu ambasadora było coś nieznosnie władczego. Był to uśmiech uprzejmego gubernatora kolonii rozmawiającego z lojalnymi przedstawicielami podbitego ludu“.

Adwokat był z początku zmieszany tym porównaniem, które podsunął mu pisarz polski, ale w antrakcie szepnął:

„Ma pan rację, stajemy się kolonią. Cóż za sztycherce odwrócenie faszystowskich snów o rzymskim imperium kolonialnym“.

Kolonizatorzy amerykańscy wykorzystują plan Marshalla, aby wycisnąć z gospodarki włoskiej wszystko co można i nawet więcej niż można. Brandys cytuje szereg faktów świadczących o bezprzykładnej chciwości i okrucieństwie monopolu amerykańskich. W Livorno inżynierowie wielkiego towarzystwa przemysłowego Motofides di Livorno, które podczas wojny produkowało amunicję wojenną dla floty zdecydowali przestawić się na produkcję pokojową i opracowali projekty maszyn do produkcji pończoch. Projekt został zaakceptowany; co więcej, uznano, że maszyny te są lepsze od niemieckich, które były zainstalowane w fabrykach włoskich. Pierwsza maszyna została już skonstruowana i miano przystąpić do masowej produkcji, gdy wszedł w życie plan Marshalla. W myśl tego planu fabryki włoskie miały korzystać wyłącznie z amerykańskich maszyn. Olbrzymie zakłady przemysłowe

słowe Motofides zostały zamknięte, tysiące robotników znalazło się na bruku.

Podobnie też zamknięte zostały fabryki papieru na wyspie Liriz, które okazały się zbyt cenne, jako że papier dla Włoch mogą produkować fabryki papieru w Stanach Zjednoczonych. Włochy eksportowały zawsze mleko skondensowane. W Neapolu istniała specjalna fabryka puszek konserwowych. Obecnie fabryka ta została zamknięta: Włochy figurują na liście krajów importujących, zgodnie z planem Marshalla, mleko skondensowane ze Stanów Zjednoczonych. Ale szczytem wszystkiego jest to, że „kraj makaronów“ importuje obecnie makaron z Ameryki!

Monopole amerykańskie położyły łapę nie tylko na życiu ekonomicznym — lecz również na życiu politycznym Włoch. Pod ich opiekuńczym skrzydłem podnosi swą drapieżną głowę krwawy faszyzm. Marian Brandys opisuje scenę sądu nad faszystą Valerio Borghese. Ten zbrodniarz wojenny był organizatorem i komendantem dywizji hitlerowskiej i zamordował 900 partyzantów włoskich. Ale na rozprawie sądowej zachowywał się z bezprzykładną bezczelnością. Był on wyrażnie pewien bezkarności, gdyż czuł za sobą poparcie zarówno rządu de Gasperiego z jego sprzedajnymi sędziami, jak i amerykańskich modawców de Gasperiego oraz Watykanu. Wygłaszał on podczas rozprawy napuszone przemówienia wymierzone przeciwko demokracji włoskiej, zaś faszystowscy chuligani wypełniający szczerlnie salę rzymskiego „Palazzo di Giustizia“ bili brawo i krzyczeli „Bravo Commandante!“ Valerio Borghese został skazany na 12 lat więzienia, ale sędziowie z miejsca wyliczyli, że nie tylko nie musi on odbywać kary, ale że już rzekomo przesiedział w więzieniu o dwa tygodnie za długo. Zbrodniarzowi zakomunikowano, że jest wolny. Podszedł do niego „przepasany szkarłatną szarfą pralat“, wznosił ręce do błogosławieństwa i powiedział wzruszonym głosem: „Niebu niech będą dzięki za to, że cię ocaliło, synu mój!“ Valerio Borghese wiedział niewątpliwie, komu oprócz Boga jest winien wdzięczność za swe uwolnienie.

Plan Marshalla był ciężkim ciosem dla mas pracujących. W rozdziale zatytułowanym „Pietra Lata“ pisarz opisuje „najuboższe z przedmieść proletariackich, które czarnym wieńcem otaczają biały roześmiany Rzym“. Po zwiedzeniu tego przedmieścia sekretarz miejscowego komitetu partii komunistycznej odpowiedział pisarzowi, który zapytał go o los tych ludzi:

— „Cóż wam mogę powiedzieć więcej niż widzieć sami. Ludzie mieszkają tu gorzej od bydła, a jedzą gorzej od psów. Dawniej mieszkańcy osady pracowali w kamieniołomach. Kamieniołomy zamknięto. Później przy budowie domów. Budowę zakończono. Obecnie 90 proc. nie pracuje w ogóle i pobiera zasiłki dla bezrobotnych, które wystarczają akurat na tyle, aby powoli zdychać z głodu. 60 proc. naszych kobiet i dzieci choruje na gruźlicę, głównie wskutek niedożywiania. Lekarstw ani lekarza oczywiście nie mamy. Takie jest życie Pietra Lata...”

Gdy pisarz wszedł do jednego z baraków nie chciano z nim rozmawiać, gdyż wzięto go za Amerykanina. Dzieci na ulicy nie chciały pozwolić, aby je fotografował. A gdy im wytłumaczono, że są to „dobrzy cudzoziemcy — życzliwi wobec ludzi z Pietra Lata“, dzieci wykrzyknęły: „to nasi, to Rosjanie...”

Robotnicy włoscy wiedzą kto jest ich wrogiem, a kto przyjacielem. W tym samym Pietra Lata sekretarz komitetu partii komunistycznej jest jedyną instancją, do której zarówno partyjni jak bezpartyjni zwracają się ze swymi potrzebami, skargami i prośbami. Od nikogo nie oczekują pomocy i opierają swe nadzieje tylko na tych, którzy walczą o to, aby wszyscy Włosi mieli pracę i chleb.

„Kiedy „Unita“ — pisze Brandys — zapowiada protestacyjny wiec — wówczas wyruszają na ten wiec zwartą gromadą pod dowództwem sekretarza partii... W domu pozostają tylko dzieci i chorzy”.

Autor opisuje jeden taki wiec protestacyjny na olbrzymim placu przed Colosseum. „Wzburzone mrowie ludzkie wypełniło cały plac, a jeszcze ze wszystkich stron płynął potokiem tłumy bledoty z przedmieść rzymskich. Na ciemnych odpyłu twarzach robotników z fabryk Breda napróżno szukałbyś śladów przysłowiowej „beztroski włoskiej“. Bose stopy fornali z Castelli Romani są czarniejsze i twardsze niż podeszwy bucików wystawionych w witrynach sklepowych. Po ciężkim dniu pracy ludzie ci przemierzali jeszcze 10 do 20 kilometrów, które oddzielają ich przedmieścia od centrum miasta, niosąc plakaty i transparenty przygotowane przez nich własnoręcznie w krótkiej chwili przerwy obiadowej. Idą tu ponieważ wiedzą, że tylko zjednoczeni stanowią siłę groźną dla wrogów.

Wiedzą także o tym ich wrogowie, dlatego też z trzech bram Colosseum wysypują się jednocześnie oddziały policji konnej i próbują rozpedzić, rozproszyć manifestantów. Ale oto nad placem rozbrzmiewa głos dochodzący, jak gdyby ze wzgórza Palatyńskiego. To przez megafon słychać przemówienie niewidzialnego mówcy, przedstawiciela Generalnej Konfederacji Pracy. „Mowa włoska — zauważa Brandys — to język stworzony dla pieśni i poezji“. Ale to nie strofy „Boskiej Komedii“ ani aria z „Toski“. Dwa obce dźwięki przebijają w melodyjnej mowie włoskiej: „Plan Marshalla“. W odpowiedzi na to przemówienie nad Colosseum rozbrzmiewają okrzyki: „Precz z rządem de Gesperiego! Precz z rządem, który zaprzedał Włochy!“ Kobieta z dzieckiem na ręku niesie transparent z napisem: „Jak długo jeszcze będą zabijali naszych ojców i mężów?“ I nad jej głową rozlegają się groźne słowa: „Chleba! Pracy! Pokoju“. Policji nie udało się rozproszyć manifestacji.

Do walczącego proletariatu przyłącza się również czołowa inteligencja Włoch. Sztuka jest nader doniosłym i ważnym frontem walki. Marshalizatorzy amerykańscy i tu również przejawiają swe zaborcze tendencje. Włochy są pełne filmów hollywoodzkich. Ale tego im mało, tym bardziej, że filmy ich nie zdobywają uznania widzów włoskich. Gdy w kinie „Metropolitan“ wyświetlano film zachwalający plan Marshalla na sali wybuchła burza śmiechu, tupot, gwizdy i okrzyki: „Basta! Basta! Basta!“. Władze amerykańskie usiłują obecnie produkować swą makulaturę filmową przy pomocy aktorów włoskich. Ale i tutaj napotykać oni na opór.

Ciekawy jest następujący fakt, opowiedziany przez Brandysa: bywał on często w Rzymie w kawiarni Braci Menghi — swego rodzaju mecenasów. Malarze przynosili właścicielom kawiarni swoje obrazy, ci zaś nie patrząc rzucali je do skrytki za bufetem, wzamian za co żywili malarzy. Przynosił również do Braci Menghi swe obrazy malarz Sandro R. Przed wojną jeden z jego obrazów ściągnął na siebie na jakiejś wystawie uwagę Mussoliniego, lecz gdy Duce łaskawie życzył malarzowi owocnej pracy „ku chwale faszystu“ — ten odpowiedział, że nie jest faszystą. Zesłano go do jednego z oddziałów wojskowych, znajdujących się w Afryce. Żona jego, aktorka, podczas wojny kolportowała potajemnie gazetę „Unita“ i ukrywała prześladowanych antifaszystów za co została wywieziona do Oświęcimia.

mia. Spotkali się z mężem w Rzymie w dniu, gdy Włosi witali powracającego do ojczyzny Palmiro Togliattiego. Ale spokojne życie nie przypadło w udziale rodzinie malarza. Obrazów Sandra nikt nie kupuje, żona jego jest bez pracy. Od głodu ratowała go jedynie szczególna filantropia Braci Menghi. Ale oto stał się cud: żona została zaangażowana. Co wieczór po przedstawieniu przychodziła do kawiarni, ażeby zjeść razem z mężem kolację. Pewnego dnia nie przyszła. Sandro wyjaśnił: w teatrze zmienili program. W nowym jest numer, wychwalający plan Marshalla... Rozumiecie, że w takiej rewii występować nie będzie.

Marian Brandys zamierzał spędzić we Włoszech pół roku, ale musiał wyjechać na miesiąc przed terminem. Władze włoskie po zapoznaniu się z jego szkicami kazały mu opuścić kraj. Ale nie mogły one przeszkodzić pisarzowi w tym, aby w swojej książce powiedział prawdę o tym, jak imperializm amerykański przy pomocy swoich włoskich sługusów grabi kraj, jak lud pod kierownictwem partii komunistycznej prowadzi walkę przeciw swym wrogom zza oceanu i rodzimej reakcji. Książka Mariana Brandysa słusznie nagrodzona została w roku 1950 nagrodą państwową — najwyższą w Polsce nagrodą literacką.

14 sierpnia

Wojska Koreańskiej Armii Ludowej wyzwoliły miasto Tapudon (Tafudo) — ważny punkt obronny nieprzyjaciela i wielki węzeł komunikacyjny.

W Pradze rozpoczął obrady II Światowy Kongres Studentów.

15 sierpnia

Oddziały Koreańskiej Armii Ludowej wyzwoliły w toku ofensywy miasto Jogwan.

Utworzono nowy rząd belgijski z Josephem Pholien na czele, w skład którego weszli wyłącznie przedstawiciele partii społeczno-chrześcijańskiej.

16 sierpnia

Na wschodnim brzegu rzeki Nagtongan (Rakuto-ko), oddziały Koreańskiej Armii Ludowej odparły kontratak nieprzyjaciela. Wzięto zdobycz wojenną i jeńców. W wyniku uporeczywych walk wyzwolono miasta Sondzu (Sejsiu) oraz Koren (Korej) — ważne punkty obronne nieprzyjaciela.

Amerykańskie władze okupacyjne zawiadomiły o uwolnieniu 8 niemieckich zbrodniarzy wojennych, w tym byłego kierownika prasy partii hitlerowskiej Otto Dietricha, hitlerowskiego magnata przemysłowego Fryderyka Flicka i dyktando Reicha Richarda Darré.

Kronika wydarzeń międzynarodowych

Sierpień 1950 roku

17 sierpnia

Rząd Polski skierował do Rady Bezpieczeństwa i do sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych depeşe, protestując przeciwko barbarzyńskiemu postępowaniu amerykańskich agresorów w Korei.

Rada Ministrów Niemieckiej Republiki Demokratycznej zatwierdziła projekt ustawy o planie pięcioletnim, wniesiony przez Socjalistyczną Partię Jedności Niemiec.

18 sierpnia

Opublikowano uchwałę Rady Ministrów ZSRR „o przejściu na nowy system irygacji, celem lepszego wykorzystywania nawadnianych terenów i podniesienia mechanizacji pracy w rolnictwie“.

Rząd Czechosłowacji zaprotestował w dwóch depeşach skierowanych do Organizacji Narodów Zjednoczonych przeciwko działalności rządu Stanów Zjednoczonych i proamerykańskiej grupy w Radzie Bezpieczeństwa i zażądał, aby Rada Bezpieczeństwa potępiła w zdecydowany sposób barbarzyńskie bombardowania przez Amerykanów otwartych miast i wsi Korei i zarządziła, by położono kres tego rodzaju przestępstwom.

Julien Lahaut, przewodniczący komunistycznej partii Belgii, jeden z najstarszych działaczy ruchu robotniczego tego kraju, został zamordowany przez bandytów faszystowskich. W Belgii i w innych krajach robotnicy ogłosili strajki protestacyjne przeciwko terrorystycznemu zabójstwu Lahaut.

Truman mianował byłego ambasadora w Moskwie, generała-lejtanta Bedell Smith'a, kierownikiem centralnego urzędu wwiadu na miejsce kontradmirała Hillenkoettera.

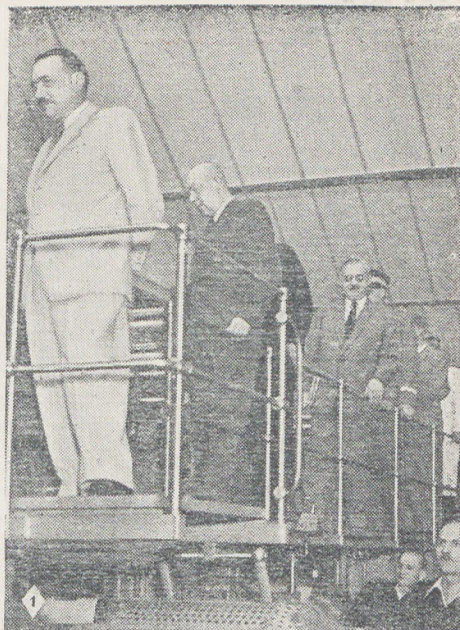
19 sierpnia

Wszelchwiązkowa Centralna Rada Związków Zawodowych zwróciła się w imieniu członków Związków Zawodowych ZSRR do Rady Bezpieczeństwa z żądaniem potępienia amerykańskiej agresji w Korei, zobowiązania rządu Stanów Zjednoczonych do zaprzestania barbarzyńskiego bombardowania cywilnej ludności koreańskiej i wycofania wszystkich obcych wojsk z Korei.

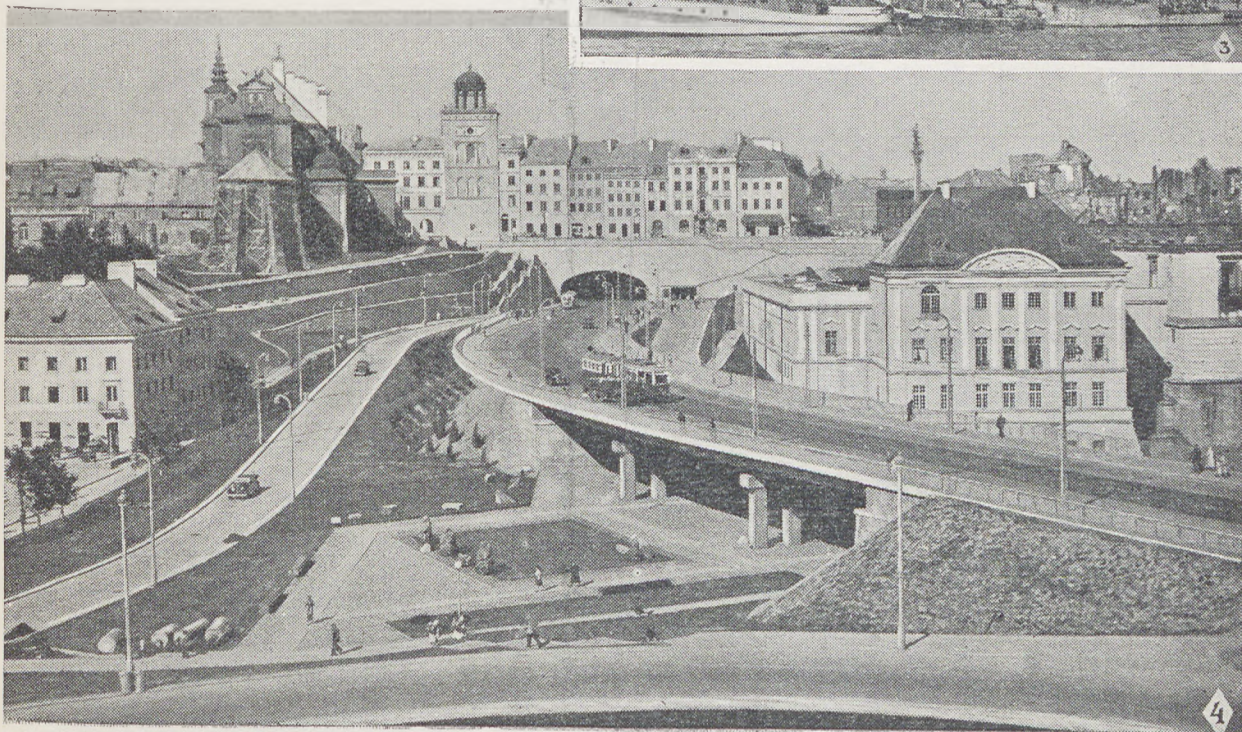
21 sierpnia

Opublikowano uchwałę Rady Ministrów ZSRR o rozpoczęciu w 1950 roku budownictwa pod Kujbyszewem elektrowni wodnej na Wołdze o mocy około 2 milionów kilowatów, produkującej około 10 miliardów kilowatogodzin energii elektrycznej w ciągu roku przy średnim stanie wód. Elektrownia osiągnie pełną zdolność produkcyjną w 1955 roku.

W nowej Polsce



Na zdjęciach: 1. Prezydent Rzeczypospolitej Bierut, premier Cyrankiewicz i inni zwiedzała nowe zakłady poligraficzne „Domu Słowa Polskiego”. 2. Masowy wiec w miasteczku robotniczym przy budowie „Nowej Huty” — olbrzymich zakładów hutniczych w pobliżu Krakowa. 3. W porcie szczecińskim. 4. Widok na trasę „W—Z” — nową arterię Warszawy.



TYGODNIK NOWE CZASY

Ukazuje się W JĘZYKU ROSYJSKIM, POLSKIM,
ANGIELSKIM, NIEMIECKIM I FRANCUSKIM

Roczna prenumerata 1200 zł. — Półroczna 600 zł. — Kwartałna 300 zł.

Prenumeratę przyjmuje P. P. K. „Ruch”

Konto PKO I-15277

Wydanie polskie — Adres wydawnictwa:
Warszawa, Nowy Świat 58, tel. 8-05-60.

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO LITERATURY DZIECIĘCEJ

WYSZŁY Z DRUKU (w języku rosyjskim):

W. G. BIELINSKI — **O klasykach literatury rosyjskiej.** Str. 360. Cena 7 rb. 30 kop.

JOHANN WOLFGANG GOETHE — **Dzieła wybrane.** Przekład z niemieckiego. Str. 480. Cena 8 rb. 20 kop.

D. N. MAMIN - SYBIRIAK — **Jemiel — myśliwiec.** Str. 16. Cena 50 kop.

Syn Kalewa. Estoński epos ludowy. Z przedmową L. Toom „Syn Kalewa i jego twórca”. Str. 166. Cena 4 rb. 50 kop.

K. D. USZYŃSKI — **Dzieci w gaju.** Str. 16. Cena 50 kop.

Treść: Historia pewnej jabłonki. Dzieci w gaju. Bodliwa krowa. Gadzina.

I. BAGMUT — **Szczęśliwy dzień kadeta — suworowca Krynicznego.** Przekład z ukraińskiego M. Fresinej. Str. 160. Cena 4 rb. 20 kop.

Opowieść z życia wychowanków szkoły kadetów — suworowców.

A. WOINOW — **Opowiadania o generale Watutinie.** Str. 200. Cena 7 rb. 80 kop.

Opowiadania o wybitnym wodzu radzieckim, generale armii N. F. Watutinie.

I. KOZEDUB — **Służę ojczyźnie.** Opowiadania lotnika. Opracowanie literackie A. Chudadowej. Str. 208. Cena 5 rb.

Wspomnienia z dzieciństwa, lat szkolnych i walki w okresie Wielkiej Wojny Narodowej trzykrotnego Bohatera Związku Radzieckiego.

S. KORIAKOW — **Szlakiem śmiałych.** Str. 240. Cena 8 rb.

Opowieść o przygodach grupy pionierów, podróżujących po Uralu w celu poznania kraju ojczystego.

L. KOSMODIEMIAŃSKAJA — **Opowieść o Zoi i Szurze.** Opracowanie literackie F. Wigdorowej. Str. 256. Cena 9 rb. 60 kop.

Opowieść o Bohaterach Związku Radzieckiego Zoi i Szurze Kosmodiemiańskich, napisana przez ich matkę.

A. MUSATOW i M. CZACZKO — **Ognie na wzgórzach.** Opowieść. Str. 270. Cena 8 rb. 70 kop.

G. SKREBICKI — **Przyjaciele mego dzieciństwa.** Str. 48. Cena 1 rb. 60 kop.

Opowiadania o zwierzętach.

N. TICHONOW — **Kirow — z nami.** Poemat. Str. 16. Cena 20 kop.

E. JUNGA. — **Nieśmiertelny okręt.** Str. 96. Cena 2 rb.

Opowiadania o odznaczonym „Czerwonym Sztandarem” krążowniku „Aurora”.

I. WINOKUROW i F. FŁORICZ — **Na Południowym Sachalinie.** (Seria „Nasza ojczyzna”). Str. 160. Cena 5 rb. 60 kop.

Książka o „Wyspie skarbów” — Południowym Sachalinie, jego historii i olbrzymich bogactwach naturalnych.

G. KUBLICKI — **Jenisej, syberyjska rzeka.** (Seria „Nasza ojczyzna”). Str. 288. Cena 9 rb. 70 kop.

Książka o podróżach po wielkiej rzece syberyjskiej Jeniseju, o olbrzymim budownictwie na jej brzegach.

J. FROŁOW — **Wielki fizjolog I. P. Pawłow.** (Seria „Przyrodniczo-naukowa biblioteka ucznia”). Str. 80. Cena 1 rb.